z miłości do miasta

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | X 2018 - IV 2019 | NR 5

na WINNICY

ISSN 2544–8880

Witold Nowicki, „Zielona Góra od strony Palmiarni”, 1979, wł. Muzeum Ziemi Lubuskiej

Zielonogórska Aleja Sław znajduje się przed gmachem Muzeum Ziemi Lubuskiej na al. Niepodległości. Są tam tablice pamiątkowe dotyczące tych mieszkańców, którzy zapisali się w dziejach miasta. Jako dwunasta 27 lutego 2019 r. została tam umieszczona tablica dotycząca artysty plastyka Witolda Nowickiego. Urodził się w Mogielnicy na Mazowszu w 1924 r. Studiował w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u sławnego profesora Jana Cybisa. W 1953 r. przyjechał do Zielonej Góry, która dopiero stawała się stolicą województwa. Razem z innymi absolwentami uczelni plastycznych współtworzył miejscowe środowisko artystyczne. Miał ogromny wkład między innymi w opracowanie tzw. karty łagowskiej i cyklu wystaw połączonych z sympozjami, które przeszły do historii jako Złote Grono. Uprawiał malarstwo, grafikę artystyczną i reklamową, mozaikę, metaloplastykę. Mówiono o nim, że jest rogatą duszą, a przecież z pasją hodował kwiaty, żeglował i podróżował po świecie. Zmarł w 2008 r. Jego prace znajdują się w zbiorach prywatnych i muzealnych. Prezentowany wyżej obraz olejny „Zielona Góra od strony Palmiarni” powstał około 1979 r. Znajduje się w kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Murale

1.

2.

Na przestrzeni ostatniej dekady pojawiło się w Zielonej Górze kilkadziesiąt interesujących murali zdobiących budynki mieszkalne i przemysłowe, a także obiekty użyteczności publicznej i nawet ekrany dźwiękochłonne. Miejsca te (niekiedy zaniedbane i opuszczone) dzięki umieszczonym na nich różnorodnym formom graficznym stały się swoistą galerią sztuki publicznej i cieszą oczy mieszkańców.

1. *Ul. gen Jarosława Dąbrowskiego 4, autorzy: Jakub Bitka , Łukasz Chwałek, Jacek Milewski.*
2. *Al. Niepodległości 4 (od strony podwórka), autor: Sławek ZBIOK Czajkowski*
3. *Ul. Lisia, cykl lisów umieszczonych na wieżowcach; autorzy: Jakub Bitka, Łukasz Chwałek*
4. *Ul. Ptasia, ptasi tryptyk; autorzy: Jakub Bitka, Łukasz Chwałek*
5. *Trasa Północna, ekran dźwiękochłonny; autor: Obed Abraham Osorio (Salwador), praca wykonana podczas Green Jam 2017*
6. *Ul. Kupiecka 47, ikony popkultury; autor: Jakub Bitka*
7. *Wzgórze Braniborskie, zbiorniki na wodę; autorzy: Jakub Bitka, Łukasz Chwałek*

3.

4.

5.

6.

7.

zdjęcie nr 5 – fot. Magda Weidner, zdjęcia nr 1-4, 6, 7 – fot. Alicja Błażyńska

W NUMERZE:

Wokół ratusza
Murale 2

Od redakcji
Wzór do naśladowania 3

U nas
Staram się słuchać wszystkich zielonogórzan 4-6
Rada Miasta Zielona Góra w kadencji 2018-2023 6
Z tego kronikowania już nie wyjdzie 7
Kontrowersje wokół ulic 8-9

Zielonogórska nagroda literacka
Czwarta gala Winiarki 10-11
Konkurs na utwór o Zielonej Górze – nagroda główna
Dziewczynka z zapalniczką 12-14

Recenzje
Wesołe ballady pani Haliny 15
Czas pełen win 16

Ponad słowami
Każdy tom ma swojego człowieka 17

Prosto z miasta
Władysław Sikora – dalajlama kabaretu 18-19
Ulica Wandy 19
Jagodowe Wzgórze ma 210 m n.p.m. 20-21
Historia jednego ujęcia 22-23
Listy 23
Kapliczka w winiarni 24

Nad Złotą Łączą
Pierwsi zawodowi fotografowie 25
Przeżycia Zdeňki Kodymovej 26
Postawił fabrykę na nogi 27
Dylematy i rozterki burmistrza Sobkowiaka 28
Dwukrotny olimpijczyk 29

Wspomnienia
Jestem spełniony 30-31

Regulaminy
Zielonogórska Nagroda Literacka Winiarka 2019 32
5. Konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej 32

Blisko centrum
Z naszej kroniki 33

Gdzie indziej
Stowarzyszenie miłośników miasta z wyjątkowo bogatą przeszłością 34

Wzór do naśladowania

Był taki zwyczaj. A może nieformalny nakaz? Nie, prędzej zwyczaj. Chodziło o to, żeby nie stawiać pomników tym, którzy dopiero co zmarli. Dla dobra sprawy należy odczekać pięć lat. Nie mam na myśli nagrobków na cmentarzach. Tam obowiązuje logiczna zasada: póki ziemia nie osiądzie, wystarczy kopczyk okolony deskami, kwiaty i znicze. I żeby nie było chwastów. A później pomnik. Zresztą to co się stawia na cmentarzach, na ogół jest symboliczne i informacyjne. Czyje prochy spoczywają w tym miejscu (imię, nazwisko, daty urodzenia i śmierci, czasem zawód, niekiedy: Śpij aniołku, Pokój jego duszy albo Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich i na ogół Śp., co oznacza świętej lub świetlanej pamięci).

Co innego, gdy w grę wchodzą publiczne pieniądze. Też nasze, ale jakby inne. To i wielgaśne pomniki stoją nie na cmentarzach, a w parkach, na placach, przy ulicach. Czy naprawdę zawsze mają one cokolwiek wspólnego z dewizą, że tak długo człowiek żyje, jak długo trwa o nim pamięć, wątpię.

Wracam do tego, że trzeba odczekać pięć lat, zanim stanie pomnik. Tyle czasu wystarczy, aby się przekonać, że ten, który był i już go nie ma, zasługuje na więcej niż tylko na zapalenie znicza na grobie. Czy powinien zostać patronem ulicy/placu/szkoły/biblioteki/sali/konkursu/nagrody. I czy jego pomnik wypada postawić na cokole, bo jego zasług już nikt nie podważy.

A najgorsze co może być, to stawianie pomników żywym. Jan Paweł II, który chyba najczęściej był w takiej sytuacji, prosił, aby nie wykuwać jego podobizny w marmurze, nie odlewać w brązie. Zamiast tego, prosił, stawiajcie szkoły, przedszkola, domy opieki, szpitale. Takie pomniki służą ludziom i nikt nie odważy się ich zwalić.

W Zielonej Górze na al. Niepodległości jest stolik, przy nim siedzi odlany w brązie Klem Felchnerowski. Nie słyszałem, aby ktokolwiek powiedział złe słowo o zmarłym w 1980 r. malarzu, a miał on grzechów sporo. Na tej samej ulicy przed wyborami samorządowymi stanął pomnik żużlowca Andrzeja Huszczy. Podczas odsłonięcia były oklaski, ale i były gwizdy. Padło niemało takich słów, których tylko dlatego, że A. Huszcza żyje i byłoby mu przykro, nie powtórzę. Kogo ciekawi, co wtedy ludzie mówili i co mówią o żużlowcu, niech zajrzy na strony fejsbukowe. To jest najlepszym potwierdzeniem, że pomniki powinno się stawiać zmarłym i dopiero co najmniej pięć lat po ich śmierci. A to dlatego, żeby odeszli z tego świata ci, którzy ich znali i znali ich winy.

Gdyby ode mnie zależało, stawiałbym pomniki uczonym, artystom, żołnierzom, prostym ludziom, którzy czymś niezwyczajnym, ważnym dla potomnych się zasłużyli. Nie stawiałbym pomników politykom i pięciominutowym bohaterom.

Postawiłbym pomnik aktorce Halinie Lubicz i doktorowi Michałowi Kaziowowi. Jej za to, że nie pozwoliła Michałowi być na czyjejś łasce. Jemu za to, że przekonał niedowiarków, iż w sytuacji, kiedy człowiek nie ma rąk i oczu, także może robić naprawdę wielkie rzeczy. Obojgu – jako wzorcom do naśladowania.

Alfred Siatecki

Zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Zielona Góra

ISSN 2544–8880

na WiNNiCY

Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37
e-mail tmzg-winnica@o2.pl
www.tmzg.org.pl

Redagują: Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźnak, **Alfred Siatecki – redaktor naczelny**
Skład i łamanie: Emilia Ćwilińska
Projekt winiety: Wacław Serdeczny
Numer zamknięto 4 marca 2019 r.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Staram się słuchać wszystkich zielonogórzan

ROZMOWA Z JANUSZEM KUBICKIM – PREZYDENTEM ZIELONEJ GÓRY

– Czym pan porusza się po mieście: autem służbowym, prywatnym, autobusem MZK? Może piechotą?
– Najczęściej jeżdżę samochodem służbowym i prywatnym. To zależy od sprawy, którą staram się w danym momencie załatwić. Często chodzę pieszo. Bywa także, że jeżdżę rowerem miejskim. Dojazd jednośladem z urzędu przy ul. Podgórnej do ratusza na Starym Rynku zajmuje mi trzy, cztery minuty.

– Czy wtedy, kiedy pan wychodzi z urzędu, ochroniarz idzie przed panem, za panem, obok?
– Nie mam ochroniarza służbowego ani prywatnego. Zazwyczaj chodzę sam lub w towarzystwie znajomych, rodziny, innych pracowników urzędu.

– Idąc ulicą w biały dzień boi się pan, że zostanie napadnięty?
– W Zielonej Górze jest bezpiecznie. Nie zdarzyło się, żeby ktoś mnie zaatakował. Bywam zatrzymywany, ale to nie ma nic wspólnego z napaścią.

– A czy kiedykolwiek panu grożono?
– Zdarzało się, ale gróźb nigdy nie traktowałem poważnie. Nie oznacza to, że całkowicie je lekceważyłem. Do tych, którzy mi grozili odnosiłem się z wyrozumiałością. To, co ma obecnie miejsce w Polsce, o czym się mówi w mediach i z czym się raczej nie walczy, uważam za coś, co idzie w złą stronę. To się staje coraz bardziej szkodliwe dla demokracji. Od kilku lat mamy taką sytuację, że politycy swoimi napastliwymi wypowiedziami dzielą Polaków. Przedstawiciele dwóch największych ugrupowań uważają, że są tylko dwie drogi: albo trzeba być z jednymi, albo z drugimi. Głoszą, że kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam. A ja jak większość ludzi nie zajmujących się wielką polityką, nie chcę być ani z tymi, ani z tymi. Ja mam swój rozum i jak większość ludzi chcę żyć po swojemu. Nie oznacza to, że chcę być obojętny. Chcę wybierać, ale tych, do których mam zaufanie.

– Spotyka się pan z mową nienawiści?
– Tak jak i pan. Jak wszyscy, którzy oglądają telewizję. Nie twierdzę, że winne są wyłącznie media, ale tego nie da się ukryć, że w dużej mierze środki przekazu ponoszą za to winę. Są osoby, które nie powinny pokazywać się w żadnej telewizji. Dziennikarze nie powinni przekazywać ich wypowiedzi, nie powinni przeprowadzać z nimi wywiadów. Znam polityków, którzy mają parcie na szkło, tak w żargonie określa się występowanie w telewizji, uważają to za coś w rodzaju swojej misji. A tam kłamią, opluwają swoich przeciwników politycznych, mataczą. Wojują słowami. Im więcej wyleją pomyj na swego przeciwnika, tym bardziej wydają się być zadowoleni. Zdarza się, że i ja uczestniczę w dyskusjach z udziałem polityków, niekiedy z udziałem takich, którzy nie przebierają w słowach. Nie panują nad swoimi wypowiedziami. Wtedy zaciskam ręce i usta. Staram się trzymać nerwy na wodzy, żeby nie wybuchnąć. To nie jest łatwe, mimo że niekiedy jestem prowokowany do nieparlamentarnego zachowania. Na razie mi się udaje.

– W 2006 roku 53,09 procenta głosujących zielonogórzan wybrało pana na prezydenta. W 2010 poparło pana 64,87 procenta wyborców już w pierwszej turze. W 2015 głosowało na pana 68,26 procenta tych zielonogórzan, którzy uczestniczyli w wyborach. Jesienią ubiegłego roku poparło pana 58,2 procenta dorosłych mieszkańców miasta. Czym pan zasłużył sobie na taką armię zwolenników?
– Tym zielonogórzanom, którzy mają dobrą pamięć, którzy mają oczy szeroko otwarte, nie trzeba przypominać, jak wyglądało miasto przed wyborem mnie na prezydenta. Oni widzieli, co powstało za mojej pierwszej kadencji, dlatego w 2010 roku tak dużo osób na mnie głosowało. W następnych i ostatnich wyborach, mimo że kandydatów było sporo, znowu mi zaufali. Zaufali dlatego, że zrobiłem dużo z tego, co obiecałem. Na przykład Centrum Rekreacyjno-Sportowe. Kto był w Zielonej Górze przed 2006 rokiem i przyjechał teraz, ten widzi, że miasto się zmieniło na bardziej komfortowe do życia. Moim celem jest wprowadzenie jeszcze większych zmian, ale nie na wszystko starcza pieniędzy. Chciałbym, na przykład, żeby powstały parkingi podziemne i żeby z krajobrazu miasta zniknęły samochody. Tak już jest w wielu miastach zachodnich.

– Od trzynastu lat rządzi pan miastem. Co uważa pan za swój największy sukces?
– Zielona Góra jest wymieniana wśród czterech, pięciu miast w Polsce, które nie traci mieszkańców. To potwierdza, że mamy pomysł na Zieloną Górę. Są w Polsce miasta, które straciły nawet po dziesięć procent swoich mieszkańców. Gdyby do tego doszło w Zielonej Górze, to byłoby puste osiedle Pomorskie. Przed 2006 rokiem wzorem dla Zielonej Góry był Gorzów. Zielonogórzanie zazdrościli gorzowianom rozmachu inwestycyjnego, a szczególnie basenu Słowianka, filharmonii, obwodnicy i mostów na Warcie, centrów handlowych. Teraz oczy zielonogórzan kierują się nie na Gorzów, lecz na Poznań i Wrocław. Pewnie pan pamięta, że przed 2006 rokiem dyżurnym tematem w dyskusjach był basen. Przez piętnaście lat tylko o nim dyskutowano, ale nikomu nie udało się go wybudować. Dopiero za mojej kadencji inwestycja została zrealizowana. Po 1989 roku jak wiele miast w Polsce Zielona Góra zaczęła tracić na znaczeniu jako stolica średniego województwa. Najpierw upadły te największe zakłady, potem i te mniejsze. Nie ma tamtego Zastalu, tamtego Zefamu, tamtej Polskiej Wełny, tamtego Falubazu, tamtego Przylepu, a przede wszystkim to właśnie te zakłady świadczyły o gospodarczym znaczeniu miasta.

– Pozostał Lumel.
– Udało się uratować Lumel. Szkoda, że nie udało się uratować Lubuskiej Wytwórni Win. W Zielonej Górze odrodziło się winiarstwo, Zielona Góra jest samozwańczą stolicą polskiego wina, a nie ma winiarni. Mam pretensję do moich poprzedników o to, że za mało energii poświęcili na ratowanie wielkich zakładów. Na pewno nie było to ich statutowym zadaniem, ale mieszkańcy inaczej uważają. Zdaniem niektórych mieszkańców

to prezydent jako gospodarz miasta jest odpowiedzialny nawet za to, co nie jest własnością miasta. Upadły wielkie zakłady, które dawały pracę zielonogórzanom. Jako samorządowcy musieliśmy wymyślić, jak wyjść z tej bardzo trudnej sytuacji. Udało się. Teraz kto jest zdrowy i chce pracować, na brak miejsca zatrudnienia nie powinien narzekać.

– Największa porażka?
– Jest takich wiele. Nie z każdą się identyfikuję. Latami bardzo mało się działo, dlatego teraz jest tyle potrzeb i tyle oczekiwań. Na przykład część mieszkańców domaga się przebudowy skrzyżowań na wielopoziomowe. Przygotowaliśmy koncepcję skrzyżowania przy Castoramie i trzeba ją było odłożyć na lepsze czasy. Koszt przebudowy przekracza nasze możliwości finansowe. Jest wiele zadań, które mi się marzą, które podpowiadają mi mieszkańcy, ale ze względu na brak pieniędzy na razie nie ma możliwości ich realizacji.

– Dlaczego nie funkcjonuje trójmiasto Nowa Sól – Sulechów – Zielona Góra?
– Tamta formuła wyczerpała się. Zielona Góra stała się ośrodkiem wiodącym, w którym mieszkańcy zarówno Sulechowa jak i Nowej Soli oraz okolicznych gmin tu załatwiają swoje sprawy.

– Ile prawdy jest w tym, że fejsbukowicze mają ogromny wpływ na pana decyzje?
– Dla mnie jest to pewna forma konsultacji. Staram się słuchać wszystkich, także fejsbukowiczów. Zbieram opinie i wyciągam wnioski. Na ogół jest tak, że część mieszkańców jest za czymś, część przeciw. Zdarza się, że podejmuję decyzje wbrew tej części osób, która ma inne zdanie.

– Kiedy niedługo po studiach przyjechałem do Zielonej Góry, „Gazeta Zielonogórska" opublikowała artykuł na temat tego, jak będzie wyglądało miasto na początku XXI wieku. Autor napisał, że w 2000 roku Zielona Góra będzie miała 170 tysięcy mieszkańców. Na placu Przy Gazowni będzie stał luksusowy hotel Grono. Z tego placu na drugą stronę ulicy, gdzie jest filharmonia, pod Wojska Polskiego będzie przejście podziemne.
– Był inwestor, który chciał sfinansować przebudowę tej części miasta, gdzie stoi Empik, Poczta Polska, Dom Towarowy Centrum, aż do byłego domu partii. Z alei

fot. Daniel Jung

Janusz Kubicki – 50 lat, ukończył studia z marketingu i zarządzania w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze, był m.in. dyrektorem polikliniki w Zielonej Górze, od 2006 r. jest prezydentem Zielonej Góry.

Niepodległości do dworca kolejowego miało być przejście podziemne pełne sklepów. Inwestor miał w planie wyburzenie części budynków przy ul. Bohaterów Westerplatte. Zdawał sobie sprawę z tego, że najwięcej do powiedzenia będzie miał konserwator zabytków, dlatego zaproponował pozostawienie ścian czołowych tych obiektów. Niestety konserwator zabytków na to się nie zgodził. Teraz ta część miasta jest martwa i najgorsze jest to, że nie ma konkretnego planu na jej ożywienie.

– Czy zmieni się amfiteatr na Wzgórzach Piastowskich?
– Jestem za tym, żeby to był obiekt zadaszony, wykorzystywany przez cały rok. W Centrum Rekreacyjno-Sportowym odbywają się koncerty, ale to nie jest najlepsze miejsce na tego typu imprezy. CRS jest przeznaczone do organizacji imprez sportowych. Każde dostosowanie jego funkcji do koncertu wiąże się z ogromnymi kosztami, co powoduje, że organizatorzy wielkich wydarzeń muzycznych omijają nasze miasto. To po pierwsze. Po drugie CRS nie nadaje się na imprezy kulturalne ze względu na nie najlepszą akustykę. W najbliższych trzech latach amfiteatr powinien zmienić swój wygląd. Wierzę, że tam powstanie obiekt zbliżony funkcją do centrum kongresowo-widowiskowego.

– Niedawno pan zapowiadał postawienie wieży, z której będzie można zobaczyć Karkonosze.
– Nie chodziło mi o samą wieżę widokową. Mówiłem o zagospodarowaniu Wzgórz Piastowskich, poczynając od kąpieliska w Ochli. Chciałbym, aby powstały tam ścieżki rowerowe i spacerowe, park linowy, miejsca wypoczynku i właśnie wieża widokowa. Na razie pomysł ten jest odłożony do czasu, aż znajdą się pieniądze na jego realizację. Latem ta część miasta mogłaby być centrum rekreacji i wypoczynku, gdzie mieszkańcy będą mogli korzystać z kąpieliska, a zimą ze stoku narciarskiego i toru saneczkowego.

– Minizoo?
– Jest ściśle związane z zagospodarowaniem Wzgórz Piastowskich. Docierają do mnie różne opinie na jego temat. Wielu mieszkańców ma zastrzeżenia do tego, jak teraz ten obiekt wygląda i co się w nim znajduje. A z drugiej strony jest to miejsce bardzo często odwiedzane. Jedno jest pewne, zarówno minizoo jak i ogród botaniczny są potrzebne w naszym mieście. Korzystają z nich nie tylko zielonogórzanie, ale także turyści. Dlatego planujemy rozbudowę minizoo i nowe inwestycje na tym terenie.

– Tężnia?
– Miała być w parku Tysiąclecia. Chcieliśmy, by służyła przede wszystkim starszym zielonogórzanom. Gdyby nie to, że zwolennicy budowy tężni nie przekonali przeciwników tej inwestycji, pewnie już by powstawała. Brak zgody doprowadził do tego, że musieliśmy wskazać inne przeznaczenie tych pieniędzy, a były to fundusze europejskie, które, jeśli w określonym czasie nie zostaną wykorzystane, trzeba zwrócić. Pieniądze zaplanowane na tężnię przeznaczyliśmy na rekultywację parku przy zatońskim pałacu.

– Przy Starym Rynku w miejscu, gdzie kiedyś był Powszechny Dom Towarowy, stoi nowy i ciągle pusty budynek nazywany Złotem Domem.

– Chciałbym, żeby tam coś się działo. Właściciel tego budynku milczy, nie kontaktuje się z samorządem miasta. Nie jestem zwolennikiem sprzedawania miejskich nieruchomości tylko dlatego, żeby ich się pozbyć. Opowiadam się za sprzedażą, ale na konkretny cel. Stało się. Z miejscem gdzie jest Złoty Dom nie wyszło. Błąd. Jeszcze nie byłem prezydentem miasta, kiedy tę działkę sprzedano. Tak jak pan, jak tysiące zielonogórzan cieszyłbym się, gdyby działka obok Carrefoura od lat nie była pusta. To samo trzeba powiedzieć o działce niedaleko teatru, gdzie kiedyś stał szpital. O miejscu, gdzie stała Hala Ludowa. Szkoda tych miejsc. Może gdyby prawo było inne... Jako administracja miasta nie dysponujemy niczym, co by powodowało przymuszenie właściciela rudery do jej remontu, rozbiórki i postawienia czegoś porządnego.

– Castorama stoi niemal w środku miasta. Centrum handlowe Dąbrówka także. Czy to są miejsca na takie placówki?
– Nie wtedy, kiedy ja zostałem prezydentem, wydano decyzje na postawienie tak Castoramy, jak i Dąbrówki. Uważam to za błąd. Te obiekty powinny się znaleźć gdzie indziej, na przykład przy Trasie Północnej.

– W 2018 roku zadłużenie miasta wynosiło 341 milionów złotych. Dług zaplanowany na 2019 rok to 386 milionów. Zadłużenie wynosi 43,6 procenta budżetu miejskiego. W porównaniu z miastami podobnej wielkości jak Zielona Góra to dużo?
– Jeżeli chodzi o budżet miasta, to nasza sytuacja nie jest zła. Wzrosło zadłużenie, ale to wynik inwestowania w obiekty użyteczności publicznej, w drogi. Niedawno kupiliśmy tyle autobusów, ile nasi poprzednicy kupili przez wszystkie lata swojego rządzenia miastem. W większości są to nowoczesne autobusy elektryczne. To oznacza, że poprawi się jakość powietrza. Nie dość że będziemy mieli sprawniejszy tabor MZK, to i mniej zadymione powietrze.

– Włączenie gminy wiejskiej do miasta jest uważane za sukces pana w poprzedniej kadencji. Czy będzie pan dążył do przyłączenia Rybna i Wilkanowa należących do gminy Świdnica?
– Gdybym mieszkał w Rybnie czy Wilkanowie, to chciałbym, żeby te miejscowości znalazły się w Zielonej Górze. Przyłączenie wiąże się z dodatkowymi pieniędzmi. O ich wydatkowaniu decydują mieszkańcy przyłączonych miejscowości. Tak się stało w miejscowościach dawnej gminy wiejskiej Zielona Góra. Miasto musi się rozwijać. Gdyby nie włączenie sołectw do miasta, trwałyby dyskusje na temat niezbędnych inwestycji, ale nie byłoby ich realizacji. Z punktu widzenia mieszkańców przyłączonych miejscowości niewiele się zmieniło, jeśli nie liczyć na przykład obniżki podatków czy objęcia usługami miejskimi wszystkich sołectw. W przyłączonych miejscowościach trwa boom budowlany. Między Ochlą i Kiełpinem powstaje ogromne osiedle domów jednorodzinnych. Wielkie nowe osiedla są na obrzeżach Suchej i Drzonkowa. To samo dzieje się w Raculi, na Czarkowie. Ci, którzy nie chcieli mieszkać w centrum miasta, przenoszą się na jego obrzeża.

– W 1922 roku grünberczycy świętowali siedemsetlecie miasta. Czy za trzy lata zielonogórzanie będą uroczyście obchodzili osiemsetlecie?
– Powołamy komitet obchodów jubileuszu. Zwrócimy się do mieszkańców z pytaniem, jak te obchody zorganizować. Będzie to doskonała okazja do tego, żeby pokazać, jak miasto się zmieniało.

– A może zamiast urządzania wystawnego jubileuszu, odbyć uroczystą sesję Rady Miasta. Może zorganizować konferencję popularno-naukową. Może wznieść pomnik. Nie pomnik na cokole, a coś, co będzie przydatne mieszkańcom.
– Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co mnie dręczy, co chciałbym poprawić, spotka się z krytyką. Największa część Urzędu Miasta jest przy Podgórnej 22. Wydziały znajdują się przy Grottgera, Zachodniej, Sienkiewicza, Bohaterów Westerplatte, Długiej. Z punktu widzenia mieszkańca jest to niedogodne. Powinna powstać jedna wielka sala obsługi interesanta. Chciałbym, żeby wszystko było pod jednym dachem. Rada Miasta zbiera się w ciasnej salce ratusza. W Zielonej Górze brakuje większej sali na posiedzenia. Nawiasem mówiąc sejmik lubuski zbiera się w Sali Kolumnowej, w której nie jest łatwo się skupić. Kolumnowa powinna być na inne zebrania. Nowy budynek Urzędu Miasta jest potrzebny, ale czy mieszkańcy zgodzą się na jego wzniesienie przy okazji osiemsetlecia, nie jestem tego pewny.

– Dziękuję za rozmowę

Alfred Siatecki

Rada Miasta Zielona Góra w kadencji 2018-2023

(stan na 20 listopada 2018 r., po myślniku podajemy nazwę komitetu, z którego radny został wybrany)

1. **Piotr Barczak** – Prawo i Sprawiedliwość, przewodniczący rady
2. **Zbigniew Binek** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
3. **Andrzej Bocheński** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
4. **Andrzej Brachmański** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
5. **Marek Budniak** – Prawo i Sprawiedliwość
6. **Jacek Budziński** – Prawo i Sprawiedliwość
7. **Filip Czeszyk** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni (objął mandat radnego w miejsce wygaszonego mandatu radnego Janusza Kubickiego, który został wybrany na prezydenta Zielonej Góry)
8. **Robert Górski** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
9. **Filip Gryko** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
10. **Grzegorz Hryniewicz** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
11. **Rafał Mariusz Kasza** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
12. **Sławomir Kotylak** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
13. **Anita Kucharska-Dziedzic** – Ruch Miejski Zielona Góra
14. **Wiesław Kuchta** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni
15. **Dariusz Legutowski** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
16. **Krzysztof Machalica** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
17. **Tomasz Nesterowicz** – SLD Lewica Razem
18. **Marcin Pabierowski** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
19. **Janusz Rewers** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
20. **Bożena Ronowicz** – Prawo i Sprawiedliwość
21. **Mariusz Rosik** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska
22. **Tomasz Sroczyński** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni, wiceprzewodniczący rady
23. **Eleonora Szymkowiak** – Prawo i Sprawiedliwość
24. **Adam Urbaniak** – Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska, wiceprzewodniczący rady
25. **Paweł Wysocki** – Janusz Kubicki-Bezpartyjni, wiceprzewodniczący rady

Alicja Błażyńska

Z kronikowania już nie wyjdzie

Makusynka, nauczycielka, kronikarz miasta, fotografka, dziennikarka, miłośniczka sztuk wszelkich i wreszcie projektantka odzieży. Adresatką tych wszystkich określeń jest Ewa Duma, która w lutym 2019 roku, po czterdziestu latach pracy zawodowej, zdecydowała o przejściu na emeryturę.

Niemal każdy, kto uczęszczał do podstawówki przy ul. Chopina, był harcerzem. Inaczej być nie mogło, gdy opiekunem szczepu był Zbigniew Czarnuch. Aktywność Ewy Dumy w Makusynach trwała 13 lat i dłużej... Będąc w liceum u boku Ireny Rzepeckiej szefowała szczepowi, jednocześnie reaktywując legendarne „Cudaki" w nieco innej formie. Teraz jest rzecznikiem ambasady „Państwa Słońca", mianowanym przez Makuwygów (Makusynów-weteranów), którzy ciągle się spotykają. Czas spędzony w harcerstwie nauczył ją kierowania zespołem, odwagi oraz improwizacji w różnych sytuacjach. Kiedy została kronikarzem Zielonej Góry (2000r.), Makusyni rządzili w mieście. Szefem policji był Henryk Janik, Muzeum Ziemi Lubuskiej – Andrzej Toczewski, Wojciech Janka, który zasłynął w szczepie z akcji sprzątania podwórek, pełnił funkcję szefa Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Inne znane osoby to na przykład: Jerzy Gołębiowski – architekt; Wiesław Hładkiewicz – politolog, profesor nauk społecznych na UZ; Ryszard Peryt – reżyser, aktor, profesor sztuki teatru; Ula Dudziak – wokalistka jazzowa… Znanych Makusynów jest wielu; nie sposób wymienić wszystkich.

Po maturze E. Duma dostała się na pedagogikę kulturalno-oświatową w Wyższej Szkole Pedagogicznej (w połowie lat 70. o jedno miejsce na tym kierunku walczyło siedmiu kandydatów). Ważną rolę w jej przygotowaniu zawodowym odegrała Wszechnica Dziennikarska, za sprawą której została korespondentką „Sztandaru Młodych". Udzielała się także w Klubie Dziennikarzy Studenckich, w akademickim radiu WSP, a także w legendarnym „Faktorze".

Po zakończeniu studiów krótko pracowała w domu kultury Falubaz. Dość szybko okazało się, że w tej pracy nie może rozwinąć skrzydeł. Chciała robić rzeczy ambitne, co nie zawsze przekładało się na odbiór i oczekiwania. Gdy zaprosiła redaktora naczelnego „Polityki" do klubu, na spotkanie przyszło siedem osób. Dyrekcję i pracowników interesowały mniej wyszukane formy rozrywki. A to jej nie wystarczało, dlatego po urlopie macierzyńskim i wychowawczym zdecydowała się na pracę w szkole.

Prace pedagogiczną zaczęła w podstawówce nr 4 przy ul. Kingi. Początkowo uczyła w klasach 1-3. Niespodziewanie dla samej siebie poczuła się w tej pracy, jak ryba w wodzie. Rychło została wicedyrektorką szkoły. Potem jej kariera nabrała większego tempa: dyrektorka szkoły nr 8, praca w kuratorium i w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli jako konsultantka. Efektem tych doświadczeń była książka zawierająca opisy zajęć prowadzonych w ODN. Tam też przez pięć lat była redaktor naczelną pisma dla nauczycieli „Grono".

– Pewnego dnia zadzwonił telefon. Po drugiej stronie odezwał się ówczesny prezydent Zygmunt Listowski i padło pytanie: czy zostałabym kronikarzem naszego miasta? – wspomina E. Duma. Przez tydzień zastanawiała się nad propozycją, gdyż niełatwo było jej rozstać się z pracą pedagogiczną, która dawała ogromną satysfakcję.

Na stanowisku kronikarza miasta rozpoczęła pracę 14 marca 2000 r. Kiedy obejmowała funkcję, prezydent powiedział, że nie będzie zbyt ingerował w jej pracę, bo i tak za to, co zrobi podsumują ją zielonogórzanie po wiekach. Jako że nie miała poprzedników, pierwszym zadaniem było stworzenie formy annału. Szukając wzorców, pojechała m.in. do krakowskich zakonników, od których dostała wiele cennych wskazówek. Zrozumiała, że kronika to nie gazeta. Musi zawierać daty, miejsca, pełne imiona i nazwiska, tytuły naukowe, funkcje. Wszystko winno być podane bez koloryzowania. Tą drogą poszła, wzbogacając zapisy dziejów miasta o swój rys, a mianowicie oprócz najważniejszych informacji o poczynaniach prezydentów, działalności urzędu czy rady miasta i życiu społecznym Winnego Grodu, znalazło się w nich dużo miejsca poświęconego kulturze.

Kronika miasta to również zdjęcia. Fotografowanie jako pasja wyrosło z pracy zawodowej, choć warsztatu uczyła się jeszcze na studiach pod okiem Czesława Łuniewicza. Pierwsze wystawy dokumentujące najważniejsze wydarzenia danego roku były prezentowane w Urzędzie Miasta. „Kobiety Zielonej Góry" swoja premierę miały w Palmiarni. „Jesienna zaduma", powstała ze spacerów po parku Piastowskim, była już ekspozycją stricte artystyczną. Wernisaż, który odbył się w Starej Fabryce, zgromadził mnóstwo gości. Kolejną wystawą była „Duma Zielonej Góry", czyli fotorelacje z winobraniowych pochodów i Dni Zielonej Góry.

Ewa Duma pisze… Książkę o Makusynach, zawierającą indeks nazwisk z komentarzami. Na razie do szuflady… Poza tym pracuje nad historią swojej rodziny. Chce w niej przedstawić dzieje rodziców i dziadków i swoją. – Z tego kronikowania już nie wyjdę. Robię to dla moich wnuków, bo jeżeli nie ja, to kto? – pyta retorycznie. Zresztą, nawet gdy znajdzie się na prywatnej imprezie, to łapie się na tym, że rozmyśla, jak ją opisać. Chwyta wtedy za torebkę i wyciąga telefon z funkcją fotografowania, by utrwalić spotkanie.

Przez 19 lat Ewa Duma dokumentowała dzieje Zielonej Góry. Jej praca to 31 tomów zdjęć i relacji *fot. Paweł Janczaruk*

Radosław Domke

Kontrowersje wokół ulic

Po pierwszej dużej fali „dekomunizacji" społeczeństwo na nowo uczyło się planów miast, z których znikali dawni patroni. Ostatnio aż tak wielkich zmian nie było, choć trudno nazwać je kosmetycznymi. Niespełna 30 lat po upadku realnego socjalizmu w Polsce operację zdecydowano się powtórzyć.

Dokładnie w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego wszyscy wojewodowie ogłosili swoje decyzje w sprawie nazw ulic, które ich zdaniem powinny zmienić swych patronów. Uprawnienia wydawania zarządzeń zastępczych przyznała im ustawa z 2016 roku. Wcześniej zaś samorządy zostały zobowiązane do przeprowadzenia „dekomunizacji" we własnym zakresie. Z danych wynika, że do „dekomunizacji" zakwalifikowano przeszło tysiąc ulic w całym kraju. Niektóre samorządy nie czekały na rozstrzygnięcia administracyjne, wcześniej dostosowując się do wymogów ustawy.

Zgodnie ze wspomnianą na wstępie ustawą o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej nazwy ulic obowiązujące w dniu jej wejścia w życie, czyli 2 września 2016 r., upamiętniające osoby, organizacje, wydarzenia lub daty symbolizujące komunizm lub inny ustrój totalitarny bądź też propagujące taki ustrój w inny sposób,

podlegały zmianie w terminie roku

od dnia wejścia w życie tejże ustawy.

Wojewoda lubuski Władysław Dajczak zaznaczył, że ustawa nakazywała wszystkim samorządom do 2 września 2017 r. zmiany nazw kontrowersyjnych ulic. Dodał także, że nie wszystkie samorządy wykonały ustawowe zalecenia w tym terminie. W rezultacie otrzymano osiem opinii Instytutu Pamięci Narodowej (cztery odnoszące się do Gorzowa Wlkp. i cztery do Zielonej Góry). Te w Zielonej Górze dotyczyły nazw ulic: Armii Ludowej, II Armii, 22 Lipca i 9 Maja.

Miały one zmienić się następująco:

Armii Ludowej otrzymała nazwę Władysława Jagiełły,

II Armii miała otrzymać nazwę Ofiar Komunizmu,

22 Lipca w Zielonej Górze-Przylepie otrzymała nazwę Solidarności,

9 Maja w Zielonej Górze-Przylepie otrzymała nazwę 8 Maja.

Zielonogórzanie mieszkający przy ul. II Armii wywalczyli, aby nie zmieniła ona nazwy na Ofiar Komunizmu. Powoływano się między innymi na argumentację, iż w innych miastach w Polsce rozwiązano problem zmiany ulicy dodając wyraz „Żołnierzy". Pomimo ich protestów, urzędy oraz poczta zaczęły już używać proponowanej przez IPN nazwy. Miało to związek z tym, że wojewoda lubuski w grudniu 2016 r. zmienił nazwę właśnie na Ofiar Komunizmu. Pojawiła się jednak szansa na kompromis, dzięki któremu ta ulica zmieniła ostatecznie nazwę na Żołnierzy 2 Armii, którą to decyzję podjęto formalnie w marcu na sesji Rady Miasta.

Pozostałe trzy zmiany nie budziły takich kontrowersji. Armia Ludowa jednoznacznie kojarzyła się z propagandowym aspektem minionych czasów. Przypomnijmy, że powstała ona na bazie Gwardii Ludowej, której każdy członek był jednocześnie członkiem Polskiej Partii Robotniczej, uzależnionej od Moskwy. Władysław Jagiełło jest zaś niekwestionowanym bohaterem narodowym, chociaż zapewne nie każdy pamięta, że król był rodowitym Litwinem. Nie zmienia to jednak faktu, że dynastia Jagiellonów, którą reprezentował, rządziła nieprzerwanie Polską i Litwą do 1572 r., przyczyniając się do wzrostu potęgi zarówno Korony, jak i Rodła. Jagiełło widnieje nawet na banknocie, przez co można wnosić, iż nie jest postacią kontrowersyjną w aspekcie polityki historycznej, chociaż Litwini mogliby mieć w tej kwestii inne zdanie.

W związku z połączeniem miasta z gminą częścią nowej Zielonej Góry stała się wieś Przylep. Jej najbardziej kontrowersyjną ulicą była 22 Lipca. Przypomnijmy, że miała ona upamiętniać Manifest PKWN oraz późniejsze Święto Odrodzenia Polski. Święto zostało zlikwidowane prawie trzydzieści lat temu, a sam manifest nie jest obecnie w polityce historycznej prezentowany jako powód do dumy. Korzystając z faktu, że przy dacie nie było roku, można ją było pozostawić i dodać np. 1807 rok, co upamiętniałoby konstytucję Księstwa Warszawskiego, która ma dobrą opinię w historiografii. Niestety nikt nie wpadł na podobny pomysł, który ułatwiłby mieszkańcom codzienne życie i pamięć. Solidarność jest zaś słowem-kluczem, które pomimo sporów o niektórych ojców-założycieli wciąż jednoczy większość Polaków. Była wieś Przylep nosiła jeszcze jedną kontrowersyjną nazwę ulicy, mianowicie 9 Maja. Miała ona rzecz jasna upamiętniać oficjalną do 1989 r. rocznicę zakończenia

rys. Ceper

II wojny światowej na kontynencie europejskim. Była to jednak rocznica upamiętniana przez ZSRR i inne kraje obozu socjalistycznego, gdyż to właśnie wtedy reprezentant Kremla przyjął bezwarunkową kapitulację Niemiec. Zachodni alianci uczynili to dzień wcześniej, czego Moskwa do dziś nie uznaje, tłumacząc to faktem, iż skoro Związek Radziecki poniósł największy ciężar wojny, to podpisana właśnie z nim kapitulacja powinna oficjalnie stanowić o zakończeniu wojny. Cóż, jak widać jeden dzień różnicy może przysporzyć wielu kontrowersji.

Niestety realizacja ustawy przebiegła zarówno w całej Polsce, jak i w Zielonej Górze niekonsekwentnie. Pozostały bowiem

ulice ewidentnie kojarzące się z bezpowrotnie minionymi czasami PRL.

Mowa oczywiście o ul. Anieli Krzywoń, młodej bojowniczki o „wolność i demokrację", która była ściśle związana z obozem władz komunistycznych. Jako 18-letnia dziewczyna poległa w bitwie pod Lenino, walcząc w szeregach Wojska Polskiego, utworzonego u boku Armii Czerwonej. Jako jedyna Polka w historii otrzymała order Bohatera Związku Radzieckiego. Postać więc ewidentnie wpisuje się w kontekst ustawy dekomunizacyjnej. Być może na jej korzyść zadziałał fakt, że jako osoba niezwykle młoda nie była zaangażowana w działalność w służbie proletariatu tak jak Wera Kostrzewa, Wanda Wasilewska czy Róża Luksemburg. Innym przykładem jest Ludwik Waryński, twórca Proletariatu. Postać na tyle sztandarowa dla obozu władz komunistycznych, że sygnowała dawny banknot stuzłotowy. Być może Waryńskiego „uratowało" od zapomnienia to, że był XIX-wiecznym działaczem lewicy, nie mogącym wiedzieć do jakich wypaczeń doprowadzi realny socjalizm, zwłaszcza w swej stalinowskiej odmianie. Generał Jarosław Dąbrowski również był sztampową postacią dla władz PRL. Zdarzały się w Polsce przypadki po pierwszej fali „dekomunizacyjnej" w 1989 r., że po prostu imię Jarosława zamieniano na Jana Henryka, gdyż członek Legionów Polskich we Włoszech lepiej wygląda niż uczestnik Komuny Paryskiej. Dlatego tym bardziej dziwi, że w Zielonej Górze ulica ta pozostała bez zmian. A piękną tradycję miasto ma w takim zakresie, albowiem zmieniła Aleksandra na Tadeusza „Zośkę" Zawadzkiego przy pierwszej „dekomunizacji" ulic.

Na koniec warto wspomnieć o ulicach pośrednio nawiązujących do starych czasów. Chodzi mianowicie o aleję Zjednoczenia i ul. Jedności. Etymologia ich nazw bezdyskusyjnie łączy się z partią i robotnikami, chociaż mniej wykształcony lub nie zainteresowany historią obywatel Winnego Grodu na pewno tego nie rozpozna. Przybliżmy więc ją nieco. Aleja Zjednoczenia bezpośrednio nawiązuje do kongresu, na którym doszło do zjednoczenia Polskiej Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną w grudniu 1948 r. Wydarzenie to wpisywało się w szerszy kontekst stalinizacji Polski Ludowej. Ulica Jedności to dawna ulica Jedności Robotniczej, co podobnie jak w wypadku ulicy Zjednoczenia, nawiązuje do powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Może być też rozumiana w szerszym kontekście, jako jedność całego socjalistycznego świata pracy. Tak czy owak konotacja powyższych ulic z realnym socjalizmem jest bezdyskusyjna nawet bez przymiotników w nazwie, a mimo to nie zostały one w ostatnim czasie zmienione.

Druga „dekomunizacja" ulic została w Zielonej Górze dokonana chaotycznie i niekonsekwentnie; w pewnych kwestiach zatrzymano się w pół drogi. A było co naprawiać, gdyż pierwsza fala „dekomunizacyjna", przeprowadzona w latach 90. XX wieku, pozostawiała wiele do życzenia. O ile obecnie zmieniono takie ulice jak Armii Ludowej i 22 Lipca, to pozostawiono Anieli Krzywoń czy Ludwika Waryńskiego. Jeżeli wprowadza się jakąś reformę, której ramy są ściśle ustalone, to powinno się ją przeprowadzić od początku do końca. A tak czeka nas prawdopodobnie, w dalszej lub bliższej przyszłości, kolejna fala „dekomunizacji", przed którą bronią się niczym ostatni bastion komunizmu zielonogórskie alejki.

Na zakończenie warto wspomnieć, że słowo „dekomunizacja" jest określeniem nieadekwatnym do proponowanych oraz przeprowadzanych zmian. Dlatego konsekwentnie piszący te słowa starał się używać tego określenia w cudzysłowiu. Dlaczego II Armia Wojska Polskiego, która w przeciwieństwo do Armii Ludowej, nie była całkowicie upolityczniona i która w sposób znaczący przyczyniła się do pokonania nazistowskich Niemiec i wyzwolenia wielu polskich ziem nie ma prawa być wciąż upamiętniona w pierwotnym brzmieniu nazwy ulicy? Idąc tym tropem ulicę Powstania Warszawskiego należałoby zmienić na Żołnierzy Powstania Warszawskiego ze względu na liczne kontrowersje co do podjęcia decyzji o jego wybuchu, które cały czas dzielą polskie społeczeństwo. Odpowiedzi na powyższe i pokrewne pytania znają chyba jedynie wybrani historycy polityczni spod znaku IPN.

Nazwy ulic zmienione 1 lutego 1991 r.

Nowa nazwa		Stara nazwa
Armii Krajowej	–	Pawła Findera
Cyryla i Metodego	–	Franciszka Zubrzyckiego
Dworcowa	–	Walki Młodych
Ignacego Krasickiego	–	Janka Krasickiego
Kupiecka	–	gen. Karola Świerczewskiego
Lwowska	–	Marcelego Nowotki
Monte Cassino	–	gen. Franciszka Jóźwiaka
Leopolda Okulickiego	–	Hanki Sawickiej
dr. Pieniężnego	–	Adolfa Warskiego
pl. Kolejarza	–	pl. Marszałka Roli-Żymierskiego
pl. Pocztowy	–	pl. Lenina
Pod Filarami	–	Karola Marksa
Podgórna	–	Krajowej Rady Narodowej
Prymasa Stefana Wyszyńskiego	–	Gwardii Ludowej
Rydza-Śmigłego	–	gen. Aleksandra Waszkiewicza
Stary Rynek	–	pl. Bohaterów Stalingradu
Truskawkowa	–	Jakuba Szeli
Wileńska	–	płk. Aleksandra Kowalskiego
Władysława IV	–	Feliksa Dzierżyńskiego
Zachodnia	–	Bolesława Bieruta
Tadeusza Zawadzkiego-„Zośki"	–	gen. Aleksandra Zawadzkiego

Alfred Siatecki

Czwarta gala Winiarki

Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka" 2018 otrzymał Krzysztof Koziołek, prozaik, z urodzenia zielonogórzanin, tworzący w Nowej Soli. Konkurs literacki na utwór o Zielonej Górze wygrała Anna Konstanty z Chlebowa koło Gubina. Oboje są absolwentami Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Laureat Winiarki 2018 Krzysztof Koziołek i zwyciężczyni konkursu literackiego na utwór o tematyce zielonogórskiej Anna Konstanty

Pomysł na konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej powstał przed czterema laty w głowach członków zarządu Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica". W zasadzie pomysłodawcą był ówczesny nestor zielonogórskich poetów Janusz Koniusz. Rzucił go w samochodzie podczas podróży na uroczystość związaną z jubileuszem gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Świadkami tego byli prezes zielonogórskiego oddziału ZLP Eugeniusz Kurzawa, wiceprezes Robert Rudiak i ja. W trakcie tej podróży wywiązała się dyskusja dotycząca promocji czytelnictwa utworów poetów i prozaików tworzących w regionie lubuskim. J. Koniusz przypomniał, że od 1962 r. aż do zamknięcia redakcji dziennikarze wydawanego w Zielonej Górze czasopisma „Nadodrze" przyznawali doroczną nagrodę osobie, której twórczość budziła największe zainteresowanie czytelników. Tamtą Winiarkę otrzymała między innymi poetka Bronisława Wajs-Papusza, prozaik i piewca przyrody Włodzimierz Korsak, prozaik i publicysta Eugeniusz Paukszta, aktor Stanisław Cynarski, malarz i muzealnik Alf Kowalski, historyk Hieronim Szczegóła. To, o czym rozmawialiśmy w samochodzie E. Kurzawa przeniósł na grunt zarządu TMZG. Pomysł się spodobał.

Od 2015 r. stowarzyszenie organizuje konkurs na utwór literacki, którego tematem jest Zielona Góra. Najpierw było tak, że zwycięzca konkursu zostawał laureatem Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka" i miał prawo wydania swojej książki na koszt stowarzyszenia. W 2017 r. nastąpiło oddzielenie nagrody od konkursu.

Gala pierwszej edycji Winiarki odbyła się razem z ceremonią wręczenia Nagrody Literackiej ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza.

Tradycyjnie uroczystość rozstrzygnięcia konkursu i wręczenia Winiarki ma miejsce w Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. W 2018 r. uczestniczyli w niej ci, którzy nadesłali prace na konkurs, członkowie towarzystwa i zaproszeni mieszkańcy miasta. Administrację miejską reprezentowała wiceprezydent Wioleta Haręźlak. Zanim prezes Ryszard Błażyński ogłosił nazwisko laureata Winiarki 2018, przypomniał, że rok wcześniej Halina Bohuta-Stąpel wygrała konkurs literacki na utwór o tematyce zielonogórskiej. Zgodnie z regulaminem zwyciężczyni miała prawo przygotować maszynopis swojej książki, a stowarzyszenie opublikować pracę. TMZG wydało zbiór ballad podwórkowych na wesoło „Szacun, panie Jurandot!". Obecni na uroczystości otrzymali tę książkę z dedykacją autorki. Omówienie zbioru zamieszczamy na stronie 15 i na str. 33 informację ze spotkania promującego tę książkę.

Organizacje, czytelnicy, mieszkańcy Zielonej Góry zgłosili 14 kandydatów do Winiarki 2018. Wyboru laureata dokonała kapituła w składzie: R. Błażyński – wydawca, prezes TMZG, Teresa Pawlak – przedstawicielka Urzędu Miasta, dr Robert Rudiak – historyk literatury, wiceprezes oddziału ZLP, Alfred

Robert Rudiak odebrał Winiarkę 2015 z rąk wiceprezydent miasta Wiolety Haręźlak

Prezes stowarzyszenia Ryszard Błażyński przekazał Halinie Bohucie-Stąpel jej zbiór ballad podwórkowych, wydanych przez TMZG

Siatecki – prozaik, publicysta i dr hab. Ryszard Zaradny – politolog, wiceprezes TMZG. W pierwszym tajnym głosowaniu kapituła wytypowała czworo kandydatów do nagrody. W drugim głosowaniu także tajnym wskazała Krzysztofa Koziołka jako laureata Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka" 2018.

Podczas uroczystości w muzeum laureat otrzymał statuetkę wykonaną przez artystę rzeźbiarza Roberta Tomiaka i nagrodę pieniężną. W uzasadnieniu swojej decyzji kapituła zwróciła uwagę na zielonogórskie motywy w twórczości Krzysztofa Koziołka. Pisarz urodził się w Zielonej Górze, tu skończył szkołę średnią i studia na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jako autor debiutował w „Gazecie Lubuskiej". Mieszka w Nowej Soli. Na przestrzeni 11 lat (2007-2018) spod jego pióra wyszło 14 książek literackich, akcja wielu z nich dzieje się w dawnej i współczesnej Zielonej Górze. Debiutował powieścią „Droga bez powrotu". W 2011 r., po wydaniu czwartej książki, którą była powieść „Premier musi zginąć", pisarz otrzymał Lubuską Nagrodę Literacką ZLP [od 2016 r. im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyp. AS], nową w środowisku zielonogórskim, m.in. za upowszechnianie wiedzy historycznej o Środkowym Nadodrzu. Za kryminał retro „Furia rodzi się w Sławie" w 2016 r. był nominowany do nagrody Kryminalna Piła za najlepszą powieść miejską. Ogromne zainteresowanie czytelników zyskała powieść „Wzgórze Piastów", wydana w 2018 r., w której autor ukazał miasto i jego mieszkańców na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej. Przede wszystkim tę powieść kapituła wzięła pod uwagę, przyznając nagrodę. Pisarz jest także autorem czterech opowieści popularno-naukowych dotyczących dziejów Nowej Soli, Żagania, Sławy, Wschowy i wielkopolskiego Przemętu.

Bez wątpienia K. Koziołek należy do grona najbardziej pracowitych prozaików mieszkających i tworzących w regionie lubuskim. W większości jego książek oprócz wątków obyczajowych, osadzonych w nadodrzańskiej przeszłości – tak niemieckiej, jak i polskiej i rzeczywistości współczesnej – są motywy kryminalne lub sensacyjne, często doprawione ziołami z politycznego pudełka. Pisarz otrzymał Winiarkę za całą swoją twórczość literacką ze szczególnym uwzględnieniem powieści „Wzgórze Piastów". Akcja tej książki dotyczy przedwojennej Zielonej Góry, kiedy miasto nazywało się Grünberg. Dzieje się tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Bohaterami są Niemcy. Są i Polacy. Recenzent „Kuriera Porannego", gazety codziennej ukazującej się w Białymstoku, Jerzy Doroszkiewicz napisał: „Nie znam absolutnie Zielonej Góry, ale ilość informacji historycznych umieszczonych we »Wzgórzu Piastów« oszałamia dokładnością, a przy tym została dobrana tak, aby zainteresować obieżyświatów, nie tylko historyków. Zatem książka przy okazji staje się wizytówką regionu o skomplikowanej wielowiekowej historii. Jest nawet wykład o tradycjach winiarskich w tym rejonie".

W tym miejscu wypada podać, że statuetkę Winiarki odebrał także R. Rudiak. To laureat pierwszej edycji konkursu. W 2015 r. otrzymał Winiarkę za książkę „Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI wieku", opisującą rzeczywistość literacką regionu lubuskiego ze szczególnym uwzględnieniem Zielonej Góry. Wtedy nagrodą była figura anioła wykonana przez Lidię Kurzawową. W 2016 r. na zamówienie stowarzyszenia R. Tomiak zaprojektował statuetkę Winiarki, wręczaną laureatom. R. Rudiak zwrócił się z prośbą do zarządu TMZG o zamianę figury na statuetkę. Tak więc podczas czwartej gali zostały wręczone dwie Winiarki.

Konkurs literacki na utwór o tematyce zielonogórskiej towarzyszy Winiarce od początku. W pierwszym roku jury brało pod uwagę nie tylko utwory specjalnie napisane na konkurs, ale również prace już opublikowane. Od 2016 r., kiedy organizatorzy rozdzielili nagrodę i konkurs, nadsyłane prace nie powinny być wcześniej publikowane. W 2018 r. jury – przewodnicząca dr Alina Polak-Woźniak, członkowie: Ewa Mielczarek, Szymon Płóciennik, H. Bohuta-Stąpel i R. Błażyński – zapoznało się z tekstami literackimi 20 autorów. Spośród nich wybrało prace następujących twórców: Andrzeja Kędzierskiego z Częstochowy, Anny Konstanty z Chlebowa, Anny Pilaszewskiej z Wieliczki i Czesława Sobkowiaka z Zielonej Góry. Nagrodę główną, którą jest wydanie książki w 2019 r., otrzymała A. Konstanty. Jest ona autorką powieści „To był maj" i zbioru „Wiosna i inne opowiadania". Otrzymała wiele nagród na konkursach literackich, m.in. w Gorzowie, Gubinie, Warszawie. Fragment nagrodzonego opowiadania w konkursie drukujemy na stronach 12-14.

Jak co roku gali towarzyszyli instrumentaliści, absolwenci Uniwersytetu Zielonogórskiego. Tego dnia ukazał się czwarty numer magazynu „Na Winnicy".

fot. Alicja Błażyńska

Wiceprezes stowarzyszenia Ryszard Zaradny wręczył wyróżnienie Andrzejowi Kędzierskiemu, nominowanemu w konkursie na utwór zielonogórski

Miłośnicy Zielonej Góry i czytelnicy utworów literackich aprobujący zawołanie „Z miłości do miasta"

Anna Konstanty

Dziewczynka z zapalniczką

Pierwszy raz zobaczył ją dzień przed śmiercią Sobociny. Majstrowała coś pod ścianą kamienicy skulona jak zwierzątko szukające osłony przed zimnem. Właściwie tylko dlatego zwrócił na nią uwagę, chciał rozpoznać co to za zwierzątko. Dopiero kiedy odgarnęła włosy i uśmiechnęła się do niego szczerbatym uśmiechem zorientował się, że to dziewczynka. Mała dziewczynka w chłopięcym dresie. W jednej dłoni trzymała patyk, w drugiej coś błyskało.

– Co tam masz, gnoju? – ryknął mu nad uchem Czortu, bo też zauważył błyskanie i ze zwinnością drapieżnika rzucił się w stronę dziewczynki.

– Bierzemy go, dawaj Rudy.

Rudy się nie ruszył. Nie dlatego, że był pozbawiony zwinności.

– Głodny jestem – powiedział, hamując rozpęd Czorta. – Nie będę się uganiał za bachorami. Zobaczymy co dzisiaj na kolację.

Czortu splunął przez ramię, wyraźnie miał ochotę zabrać to coś błyskającego, ale w grupie rządził Rudy. Był najszybszy, najlepszy i miał najgorszego ojca. Rudego słuchali wszyscy.

– Zobaczymy – przytaknął i odpuścił dzieciakowi.

Sobocina nie zamykała drzwi od podwórza dużej kamienicy przy Jedności, choć mieszkała sama.

– Mój stary mówi, że można tu zrobić mieszkania i sprzedać to za milion – szeptał Czortu, kiedy zakradali się do drzwi. Siatka w miejscu, gdzie najczęściej ją przeskakiwali, ugięła się do poziomu trawnika. Na górze paliło się światło.

– Jest na górze. Wchodzimy śmiało – przerwał mu Rudy, chociaż zachęta nie była potrzebna. Akcja u Sobociny w porównaniu z innymi akcjami to była bułka z masłem. O dreszcz strachu przyprawił go tylko ten raz, kiedy przyłapała ich myszkujących w spiżarce, ale zamiast wezwać policję, kazała im wziąć pieczeń, bo podobno chłopcy w ich wieku powinni jeść dużo białka.

Malutka spiżarka ukrywała tylko jedną półkę, ale na półce zawsze stało coś do picia i do jedzenia. Tamtego dnia znaleźli stos intensywnie pachnących racuchów. Już od progu ślina napłynęła im do ust.

– To cynamon – powiedział Rudy, wciągając zapach.

– Skąd wiesz?

– Matka kiedyś piekła jabłecznik z cynamonem.

Przegryźli, a Rudy z przyjemnością przypomniał sobie smak jabłecznika. W domu smak jabłek z cynamonem rozwiał się razem z powrotem ojca z więzienia. Póki siedział, matka jakoś się trzymała. Chodziła na terapię, jadła, piekła ciasto. Później już nie.

– Po co ta stara tyle gotuje? – zapytał Czortu, otwierając słoik z kompotem.

Rudy nie odpowiedział. Czortu nie był za mądry. Zjedli po trzy albo cztery racuchy i popili kompotem. Potem Rudy wziął pozostałe i zawinął w woreczek znaleziony na półce.

Może matka zje – pomyślał.

– Pędzimy – szepnął i popchnął Czorta w stronę ciemnego korytarza. Nagle przystanął, wyciągnął zza pazuchy woreczek z racuchami i dwa odłożył na talerz. Przyszło mu na myśl, że ta mała też tu przychodzi.

Później wiele razy zastanawiał się, czy Sobocina żyła, kiedy jedli jej racuchy. Może wydawała swoje ostatnie tchnienie, może próbowała doczołgać się do drzwi i wołać o pomoc? Podobno listonosz znalazł ją przy drzwiach. Wyrzucał sobie, że ani razu nie spróbowali zakraść się na górę i sprawdzić, czy staruszka czegoś potrzebuje.

– Miriam Blanchard-Sobota – wydukał Czortu, czytając klepsydrę przyklejoną na drzwiach kamienicy. – Francuzka. Może miała jakieś dolary albo coś, szkoda, żeśmy wtedy nie weszli na górę.

– Szkoda – potwierdził Rudy i rozejrzał się po okolicy. Akurat tego dnia trzeba było wejść. Jeśli mała chudzina stołowała się u staruszki, to dokąd teraz pójdzie?

Drugi raz zobaczył ją niedaleko hotelu Amadeus. Dreptała chodnikiem w tym samym chłopięcym dresiku z paskami, ale tym razem miała związane włosy.

– Hej – zawołał, ale się nie odwróciła. – Hej! – krzyknął głośniej, zwracając uwagę jakiejś kobiety w płaszczu i czarno-czerwonej chuście sięgającej jej prawie do kostek.

– Mnie wołasz? – Kobieta popatrzyła przekrwionymi oczami ponad kraciastą chustą.

Nie odpowiedział. Po co miałaby ją wołać?

– Chcesz pieniędzy?

Pomyślał, że to wariatka. Czasem kręciły się takie koło hotelu. Pijane, wystrojone, przyglądając się, jak znikają w bramie hotelu albo wysiadają z ładnych samochodów. Podejrzewali z chłopakami, że niektóre to prostytutki.

– Masz, możesz wziąć cały portfel – podała mu niespodziewany prezent.

Był zły, że zasłoniła mu tę małą, ale portfel wziął.

– Kup sobie coś fajnego – powiedziała, a on schował zdobycz i dał nogi za pas. Z wariatkami lepiej nie zaczynać.

Kiedy spotkali się po raz trzeci, siedziała na schodach przy szkolnym boisku. Prawie na nią nadepnął, bo szedł śpiący, z kapturem naciągniętym na głowę. Lekcje zaczynały się za godzinę, ale szkoła to było jedyne ciepłe miejsce, gdzie mógł pójść o tej porze. Marzył o czasach, kiedy spali z matką do ostatniej minuty. Ona mówiła „Wstawaj dzieciaku" i szturchała go w żebro, a on prosił o jeszcze jedno pięć minut. Wtedy dom przypominał dom, nie trzeba było ewakuować się z niego o czwartej nad ranem.

Mała trzymała w ręku zapalniczkę i podpalała patyki zbierane z trawnika. Rozczochrane włoski i zaspane oczy podpowiedziały Rudemu, że ona też nie spała dobrze tej nocy.

– Hej – zagadnął.

– Hej – odpowiedziała cieniutkim altem.

– Co tu robisz tak wcześnie?

– Zapalam światło.

– Już jest jasno.

– Nie dla każdego – odparła i zacisnęła ząbki, zmagając się z mechanizmem zapalniczki.

– Daj to. – Rudy zapalił i pozwolił jej zbliżyć patyk do płomienia. – Dzieci nie powinny bawić się ogniem, nie wiesz?

– Nie bawię się – powiedziała i spojrzała na niego wielkimi oczami. – Zapalam światło.

– No tak – skinął pobłażliwie – widziałem cię na Jedności, tam też zapalałaś?

Dziewczynka znowu spojrzała na Rudego z wyrzutem.

– Miriam była dobra – rzekła. – Nie chciałam, żeby poszła do ciemności.

Rudemu dreszcz przebiegł po plecach.

– Ona… – zaczął.

– Umarła wtedy – dokończyła dziewczynka, a na jej buzi zatańczył jasny uśmiech.

Rudy roześmiał się mimo dreszczy na plecach?

– Mieszkasz koło Amadeusa?

– Nie mieszkam, przyszłam do tej pani w kratę.

Rudy skulił się pod bluzą z kapturem. Z miejsca domyślił się o kim mówi mała. O tej kobiecie z chustą, która oddała mu portfel na ulicy, a później znaleziono ją pod prysznicem w hotelowej łazience. Podcięła sobie żyły żyletką.

– Znałaś ją?

– Nie. Ale była dobra.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam ją. Martwiła się, że nabrudzi.

Rudy głośno przełknął ślinę. Kuzynka Czorta pracowała w tym hotelu i powiedziała, że nawet nie było czego sprzątać, cała krew spłynęła do odpływu.

– Zapaliłaś jej światło? – spytał drewnianym głosem.

– Aha – odpowiedział pogodnie cienki głosik.

Dziewczynka wstała i otrzepała z piasku swój dresik. Hop, hop, wskoczyła dwa stopnie w górę, a Rudy zauważył, że na nogach ma chłopięce buty. Hop, zeskoczyła z powrotem i wyjęła Rudemu zapaliczkę z ręki.

– Już nie palimy?

– Już nie potrzeba – odparła i znowu pokicała w górę. Rudy rozejrzał się niespokojnie. Na boisku poza nimi nie było żywego ducha, drzwi do kotłowni były zamknięte, za ogrodzeniem szumiał ruch uliczny. Czy ten stosik to też było światło?

– Te patyki… – nie zdążył zapytać, już jej nie było.

Później przyjechał karawan po szkolnego palacza.

– Miał bardzo rozległy zawał – powiedzieli im na lekcji i zabronili zbliżać się do kotłowni. – Zmarł na miejscu.

Rudy zabrał plecak i popędził na boisko. Zatrzymał się dopiero na schodach, gdzie stopy przechodzących uczniów zatarły ślady rozpalonego tam rano ognia. Drzwi do kotłowni znowu były zamknięte.

rys. Helena Urbaniak

– On był dobry – pomyślał Rudy, wspominając palacza, który miał w kotłowni składane łóżko i czasem pozwalał się przekimać przy piecu. Skąd ta mała wiedziała, kiedy przyjść?

Wieczorem spotkał się z chłopakami. Nie było umówionej godziny ani umówionego miejsca. Schodzili się dla zabicia czasu, dla towarzystwa, dla zrozumienia. Ofiary domowej przemocy, obojętności albo biedy.

– Czortu przyjdzie? – zapytali.

– Była u nich policja i zabrali go na izbę.

Wszyscy pochylili głowy. Izba dziecka to był wyrok na nich za winy rodziców.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Jego stary dostał wypłatę.

Rudy kopnął puszkę po farbie. Doskonale wiedział, co znaczy pijany ojciec i zamroczona matka. Ale trzeba było żyć dalej, coś planować, coś robić. Chłopaki kipieli energią.

– Chodźmy pod UZet, studenciki wrócili od mamusi, to mają trochę grosza.

– Nie – zaoponował Rudy i już wszyscy wiedzieli, że studenciki mają odpuszczone. Rudy miał trzy razy złamany nos, dwa razy prawą rękę i raz środkowy palec. Miał zakładane szesnaście szwów, z czego cztery na dolnej wardze. Rudy nie bał się postawić ojcu w obronie matki. Rudy rządził.

– Trzeba znaleźć jedną taką małą – rzekł, a chłopaki słuchali z uwagą. – Ma tak ze sześć lat, jasne włosy i szczerbate zęby. Ciągle chodzi w dresie Adidasa.

– Po co ci ona?

Rudy zastanowił się nad odpowiedzią. Nie chciał powiedzieć chłopakom, że mała przychodzi do umierających. Nie chciał wyjść na wariata.

– Ma coś mojego – powiedział. – Coś mi ukradła. Ale nie wolno jej ruszyć. Macie tylko wybadać, gdzie mieszka. Pytajcie o taką z jasnymi włosami i jasnymi oczami. Taką malutką.

Znalazła się na Zastalu. Rudy zaczekał na nią przed podstawówką numer jedenaście. Nie bał się, że pobiegnie do jednego z czekających aut, bo wyczuł, że ona nie jest z rodziny, gdzie rodzice strzegą dziecka jak oka w głowie.

– Czemu ciągle nosisz te dresy? – zapytał na powitanie, a ona uśmiechnęła się tak radośnie, że przypominały mu się bajki o aniołkach.

– Mam dwóch braci.

– Nie macie pieniędzy na ubrania?

– Mam dużo ubrań.

– Po braciach – domyślił się. – Nie chciałabyś założyć sukienki, jak inne dziewczynki?.

Przystanęła i przyjrzała mu się uważnie. Tak uważnie, jakby weszła mu do głowy i prześwietliła myśli.

– Nie pomogę ci – rzekła poważnie.

Rudy nie wiedział, co powiedzieć. Przecież niczego od niej nie chciał.

Kilka dni nie pokazał się na Zastalu, ale ciągle wracał tam myślami.

– Mamo – zagaił, korzystając z okazji, że matka była trzeźwa – załatwisz mi jakieś ubrania?

– Co potrzebujesz?

– Obojętnie – odparł, bo wiedział, że w pomocy społecznej nie zamawiało się ubrań na miarę.

– Rośniesz jak na drożdżach, dzieciaku. – Matka pogłaskała go po włosach i owionęła zapachem przetrawionego alkoholu.

– Mogłabyś wziąć sukienkę?

– Dla ciebie? – roześmiała się, ale ten śmiech był tylko cieniem jej dawnego, dziewczęcego śmiechu. Charczał i zgrzytał w przerzedzonych zębach, ukazując nienaturalnie rozpulchnione dziąsła.

– To do szkoły. Robimy kukłę wielkości dziecka z pierwszej klasy. Najlepiej żeby była niebieska z falbanami.

– Do szkoły? A co tam w szkole?

– Mamy nowego palacza. Tamten umarł – dodał, siląc się na obojętność. Chciał jeszcze powiedzieć, że ten nowy nie jest tak dobry, że nie pozwala nikomu wchodzić do kotłowni, wyrzucił z niej materac, nie wygląda na takiego, który poczęstuje herbatą i kromką chleba kiedy wystraszony chłopak będzie potrzebował miejsca, żeby przeczekać noc, ale usłyszał głos ojca na schodach, więc szybko wymknął się z mieszkania.

Następnym razem wyszła ze szkoły z tym samym jasnym spojrzeniem, ale jej dres był granatowy. Zobaczyła go pierwsza i przybiegła z radosnym uśmiechem. Rudy zauważył, że jej nóżki wyginają się jak gałązki.

– Jadłaś coś, kurczaku?

– Mam obiady w szkole. – Wskazała reklamówkę, którą trzymał w ręku. – To dla mnie?

W środku była sukienka. Biała, z różowym paskiem i popsutym suwakiem. Podał jej torbę bez słowa, a ona bez słowa ją przyjęła.

– Chcesz wafelka? – Wyjął z kieszeni dwa grześki w czekoladzie.

– Chcę.

Jedli, siedząc na krawężniku.

– Nie wiem – odpowiedziała na pytanie, którego nie zadał. – Nie wiem, po co mnie wołają. I nie zawsze mogę przyjść.

– Skąd masz to światło?

– Ono nie jest moje. Zapalam je tylko.

– A skąd wiesz, kiedy trzeba zapalić?

– Słyszę. Oni czasem nie wiedzą dokąd iść, więc zapalam światło, żeby szli do niego. Ale tylko dobrym.

– Skąd wiesz, kto jest dobry?

Mała skończyła jeść i demonstracyjnie oblizała usta.

– Ale ty jesteś głupi. Przecież to wiadomo.

Z okazji wypuszczenia Czorta poszli we dwóch na hot dogi i colę. Wracali zadowoleni bekając i głośno ciamkając gumy do żucia. Wtedy ją zauważył. Klęczała pod ścianą. Miała na sobie białą sukienkę z falbanami i popsutym suwakiem pod pachą. Najpierw pomyślał, że to odwiedziny, ale potem z niepokojem spojrzał w górę. Klęczała dokładnie pod oknem ich mieszkania.

– E! – krzyknął z całej siły i szarpnął ją za ramię tak mocno, że przewróciła się na plecy. Wyrwał jej z ręki zapalniczkę i kopnięciem rozrzucił przygotowany stosik patyków.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął i popatrzył w okna mieszkania. Nagły niepokój o matkę ścisnął mu żołądek. – Mamo!

– Ona jest dobra – powiedziała malutka. – Śpiewa kołysankę. Śpiewała ci ją?

– Wynoś się stąd! – wrzasnął. – Żebym cię tu więcej nie widział, słyszysz? Spieprzaj! Mamo!

Ruszył do mieszkania.

– Mamo! – krzyczał przez łzy. Minął drzwi sąsiadów z parteru, niebieskie i zielone. Niebieskie jak oczy matki i zielone jak jej twarz, kiedy usiłowała wyrzygać z siebie alkohol.

– Wezwijcie pogotowie. – Walnął pięścią w drzwi na pierwszym piętrze. Brązowe. Brązowe jak szlafrok matki, którym okrywała jego stopy, kiedy razem oglądali telewizję.

– Mamo, poczekaj – szlochał mijając drzwi na drugim piętrze.

Znalazł ją na kanapie, z rozciętym łukiem brwiowym i zaschniętą krwią pod nosem.

– Mamo. – Dopadł do niej i poklepał po twarzy. Na ławie leżały puste opakowania po lekach. Połknęła wszystkie, jakie były w domu. Poderwał ją i z całej siły uderzył w policzek.

– Wstawaj. – Dźwignął ją, ze zdumieniem stwierdzając, że bez problemu może ją podnieść. Nosiła go na rękach, a teraz on mógł ją podnieść. Zataszczył ją do łazienki i zlał głowę zimną wodą.

– Dzieciaku – stęknęła niewyraźnie, więc skorzystał z tej chwili oprzytomnienia, żeby wetknąć palce do jej gardła aż zwymiotowała zawartość żołądka.

– Pij. – Podetknął jej szklankę z wodą, a potem trzymał nad wanną tak długo, aż przyjechało pogotowie i dwaj ratownicy wynieśli ją z mieszkania.

– Masz z kim zostać? – spytali przed wyjściem.

– Ojciec zaraz wróci – odparł pewnie. Wiedział, że ojciec wróci prędzej czy później.

Dogonił małą w ciągu kwadransa.

– Szybko biegasz.

– To nie moja wina – krzyknęła przestraszona i zasłoniła się rączką, jakby przywykła do obrywania po głowie.

– Wiem – powiedział uspokajająco. – Wiem, że nie twoja.

– Twoja też nie. – W geście pocieszenia dotknęła jego dłoni.

– To nieważne – spiął się i postanowił przejść do konkretów. Właściwie to od początku dokładnie tego chciał, od chwili kiedy się domyślił, że to kurczątko ma dostęp do światła i do ciemności czuł, że ma szansę odmienić los jego matki. – Teraz jesteś mi coś winna.

– Za sukienkę?

– Nie. Sukienka to prezent. Jesteś mi coś winna, bo o mały włos nie wyprawiłaś mojej matki na tamten świat.

– Ja tylko zapaliłam jej światło – usprawiedliwiła się.

– Niepotrzebnie – przerwał jej. – Ona nigdzie się nie wybiera.

Przez chwilę milczeli. Ona nie chciała powiedzieć na głos tego, czego on nie chciał usłyszeć.

– Możesz wychodzić z domu po zmroku? – przerwał wreszcie łączącą ich ciszę.

– Mogę wychodzić, kiedy chcę – odparła.

– To przyjdziesz jeszcze raz. W to samo miejsce, pamiętasz gdzie?

– Tak. – Skuliła ramionka, przez co znów przypominała mu pisklaka i budziła jakąś dziwną tkliwość, ale zdusił to w sobie i postanowił być twardy.

– Ojciec musiał być pijany, bo po trzeźwemu nie bije – tłumaczył. – Teraz go nie ma, ale na pewno wróci przed dziesiątą. Zje i zaśnie. Wtedy ja otworzę okno i dam ci znać, żebyś zapaliła to swoje światło. Dla niego. Niech idzie w diabły!

– To tak nie działa.

– To mnie nie obchodzi. Jesteś mi to winna, więc przyjdziesz i zrobisz, co ci każę. Uszykuję ci patyki i szmatę nasączoną ropą. O dziesiątej, zrozumiano?

– Tak – odpowiedziała z noskiem na kwintę.

– Tylko ubierz się w coś, bo zmarzniesz.

Ojciec wrócił o czasie. Zatańczył w progu na pijanych nogach i hałaśliwie zrzucił buty. Rudy czekał w pokoju, dopiero kiedy dobiegło go chrapanie, odważył się podejść do okna i sprawdzić, czy mała już jest. Dostrzegł jej biały zarys w ciemności. Kilka razy mrugnął latarką i zaczekał, aż biały cień podejdzie we właściwe miejsce, a potem znowu schował się w pokoju.

Iskra z zapalniczki spadła na szmatę i buchnęła niebieskim płomieniem. Przestraszona dziewczynka odskoczyła do tyłu. Płomień uniósł szmatę lekko w górę i spełzł na przygotowane patyki, po chwili lizał ścianę do wysokości okien na parterze i wydawał się odnajdować coraz to nowe, łatwopalne elementy elewacji. Ktoś wszczął alarm, na dziedzińcu zrobiło się głośno.

Rudy uchylił drzwi, żeby sprawdzić, czy hałasy obudziły ojca i zobaczył go otwierającego okno, pod którym płonął już wysoki stos. Ojciec szamotał się z firanką.

– Co jest? – krzyknął i wychylił się za okno. Płomień buchnął mocniej, oświetlając jego przepitą twarz. – Co jest, kurwa? – powtórzył zdziwiony, że płomień z dziedzińca dosięgnął jego rąk opartych o parapet na trzecim piętrze i ciągnie go w swoją stronę z jakąś dziwną hipnotyczną mocą. Z mocą przyzywania do czegoś pięknego i spokojnego, a jednocześnie strasznego. A potem poszybował w dół, zostawiając w dużym pokoju tylko brudną skarpetę.

Rudy wyszedł z ukrycia i przez chwilę trawił przerażenie wymieszane z niedowierzaniem. Potem przypomniała mu się dziewczynka. Przesadzając po kilka stopni na raz, minął drzwi brązowe jak szlafrok, którym matka okrywała mu nogi, kiedy razem oglądali telewizję.

Czekała na uboczu. Wciąż w tej lichutkiej sukience, którą jej podarował. Specjalnie stanął pomiędzy nią na płomieniem, żeby nie patrzyła na skwierczące w ogniu ciało. Nienaturalnie wykręcone zwłoki nasączały ziemię krwią. W kolejnych oknach zapalały się światła.

– Pędzimy stąd. – Rudy złapał małą za rękę i pociągnął w stronę bramy, ale siedziała twardo i patrzyła na niego lękliwie. Buzię miała spłakaną, a dwa gile z nosa sięgały jej do górnej wargi.

– On nie był dobry – wyszeptała, a Rudy mocniej ścisnął jej dłoń.

– Idziemy.

Na chodniku Rudy ściągnął bluzę i przyklęknął przy małej, żeby ją okryć.

– Mówiłem, żebyś się ubrała. – Zapiął suwak i wywinął rękawy. Potem wyjął coś z kieszeni. – Zrobiłem ci kanapkę.

– Z czym?

– Z żółtym serem.

Zatrzymali się przed przejściem dla pieszych, a Rudy wciąż mocno trzymał jej małą rączkę.

– Jak matka wyjdzie ze szpitala, to ci naprawi ten suwak pod pachą, chcesz?

– Aha.

– Możesz do nas przychodzić na jabłecznik. Jak chcesz.

– Chcę.

– I nic się nie martw. Teraz ja się tobą zajmę.

Robert Rudiak

Wesołe ballady pani Haliny

Halina Bohuta-Stąpel to popularny w lubuskim regionie człowiek-orkiestra, osoba wielu talentów i pasji, pisarka, która nie daje się jednoznacznie zaszufladkować. Z wykształcenia inżynier, jednak już w trakcie studiów na Politechnice Wrocławskiej skłaniała się ku zamiłowaniom artystycznym. Zajmowała się pisaniem wierszy, fraszek, legend, ballad, piosenek autorskich, tekstów kabaretowych, tworzeniem scenariuszy, komponowaniem muzyki, tłumaczeniami z języka niemieckiego utworów komediowych przedwojennych pisarzy zielonogórskich. Wydała siedem pozycji książkowych. Teraz przyszła kolej na zbiór ballad podwórkowych „Szacun, panie Jurandot!".

Halina Bohuta-Stąpel, „Szacun, panie Jurandot!" Ballady podwórkowe na wesoło, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2018, 70 s.

Na publikację złożyły się 22 ballady od kilku do kilkunastu rymowanych zwrotek, wszystkie humorystyczne, świetnie spointowane w celu wywołania uśmiechu czytelnika lub słuchacza, gdyż do wydania dołączona jest też płyta z trzema utworami, do których słowa i muzykę napisała H. Bohuta-Stąpel. Kilka ballad na swojską nutę autorka poświęciła włodarzowi Zielonej Góry Januszowi Kubickiemu i twórcom, redaktorom i artystom, jak Zdzisław Haczek – dziennikarz „Gazety Lubuskiej", Jolancie Pytel – poetce i redaktorce i Henrykowi Krakowiakowi – artyście plastykowi czy Gabrieli i Mariuszowi Rosikom – animatorom życia kulturalnego na Kisielinie. Ale obok postaci ze „swojego podwórka" poetka kilka ballad dedykowała innym, mniej lub więcej znanym postaciom historycznym – Kopernikowi, Chopinowi, Einsteinowi czy Franciszkowi Józefowi i Wilhelminie Herzlieb z Zaboru, która była muzą Goethego.

Czym zatem jest ballada podwórkowa, niegdyś znana i słyszana niemal codziennie na każdym podwórku, grana i śpiewana przez kapele, które zajęły miejsce po średniowiecznych trubadurach i rybałtach oraz objazdowych trupach aktorskich, grające zwykle komedie i romanse? Ulica szybko przyjęła nową formę sztuki i zaakceptowała jako swojską poprzez jej rubaszność, prostotę i melodyjność. Artyści kabaretowi, kuglarze, uliczni muzykanci i aktorzy utrzymywali się z tej sztuki, występując na jarmarkach, targach, rynkach, knajpach i podwórkach.

Aby lepiej scharakteryzować ten rodzaj sztuki, autorka powołuje się na autorytet w tej dziedzinie, czyli Jerzego Jurandota, znanego już przed II wojną popularnego satyryka, poetę i autora tekstów popularnych piosenek. J. Jurandot pisał teksty dla teatrów literackich i filmów komediowych, Jego piosenki śpiewali m.in. Jadwiga Andrzejewska, Ludwik Sempoliński, Aleksander Żabczyński i chór Dana. Po wojnie J. Jurandot prowadził teatr satyryczny Syrena i warszawski Teatr Satyryków, a także współpracował z radiem i czasopismem „Szpilki". Satyryk zauważył, że sztuka podwórkowa wymarła wraz z podwórkami, które w tradycyjnej formie architektonicznej przestały być budowane, a co za tym idzie zniknęli podwórkowi śpiewacy rajzerzy czy kataryniarze, podobnie jak handlarze starzyzną, blacharze i wędrowni rzemieślnicy, zajmujący się ostrzeniem noży, lutowaniem garnków itd.

Podwórkowe ballady przejęte z przedwojennego teatrzyku, dziś rzadko przypominają piosenkarze czy kabareciarze starszego pokolenia. Treścią ballad podwórkowych – jak twierdzi J. Jurandot – były przeważnie słynne zbrodnie lub głośne romanse, tworzone przez nieznanych wierszokletów i podłożone pod zawsze tę samą melodię, zwykle lekką i skoczną, niekiedy rzewną, ale łatwo wpadającą w ucho. Jednak ich cechą wspólną musiał być humor, ubrany w gwarowe lub slangowe zwroty, wywołujące uśmiech i wesołość, gdyż przy nich bawiono się i tańczono.

A jak zatem jest ze współczesnymi balladami podwórkowymi H. Bohuty-Stąpel? Oczywiście, po pierwsze, wpisują się one w tradycję tego gatunku zarówno tematyką, jak i budową stroficzną i rymotwórczą. Po drugie, nawiązują do toposu miejsca, a więc przesycone są klimatem miasta (np. „Ballada o Zielonym grodzie", „Ballada o drobnych przedsiębiorcach z Konfin", „Ballada o krowie z Gorzowa") lub miejsca (lokalizacji), którego dotyczy fabuła ballady, np. celi więzienia („Piosenka więzienna") czy dębowej kniei („Ballada o świdnickich dębach"). Po trzecie, humor, żywiołowość, barwne obrazowanie zarówno miejsc akcji, jak i postaci czy to realnych, czy to historycznych. Lekkość pióra autorki, jak i jej ekspresywność, a do tego kabaretowy, ironiczny, a czasem wręcz kpiarski styl opowiadania sprawiają, że jej ballady czyta się naprawdę łatwo, szybko, przyjemnie i co najważniejsze – na wesoło.

Można je nie tylko czytać, ale też zaśpiewać na swojską nutę, gdyż autorka dołączyła do swojego zbioru także zapisy nutowe. A komu nie wychodzi śpiewanie, może posłuchać, jak robią to Aleksandra Matusiak-Kujawska i Dominik Rajchel, wykonujący trzy ballady w aranżacji muzycznej Piotra Spychały i D. Rajchela. Piosenki są bowiem zapisane na płycie CD dołączonej do książki. Oczywiście, autorką słów i muzyki do ballad jest H. Bohuta-Stąpel, artystka mulidyscyplinarna, urokliwa i niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju.

Alina Polak-Woźniak

Czas pełen win

Na początku lutego 2019 roku miała miejsce premiera najnowszej powieści Zofii Mąkosy „Wendyjska winnica. Winne miasto". Jako że jej akcja dzieje się w Zielonej Górze, spotkanie z autorką odbyło się właśnie w naszym mieście, a przybyła na nie ponad setka gości.

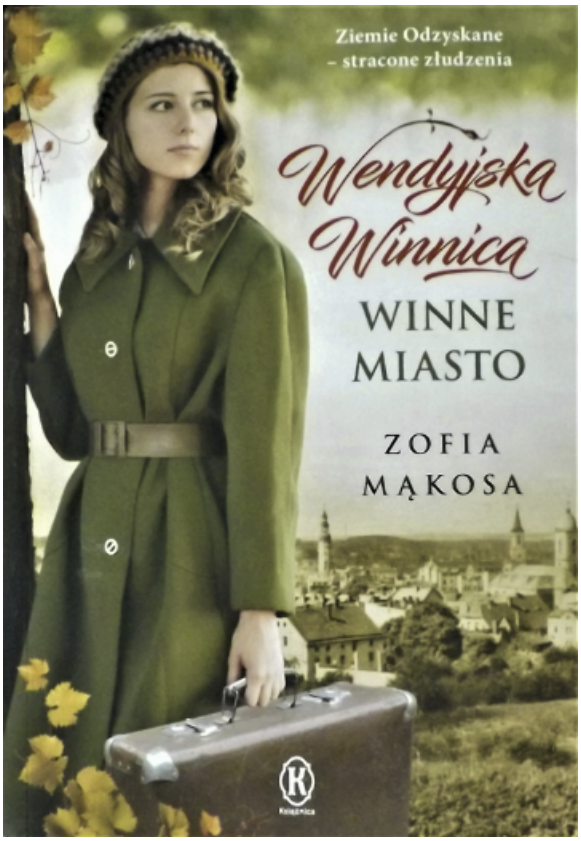

Zofia Mąkosa, „Wendyjska winnica. Winne miasto", Wrocław 2019, wyd. Książnica, 432 s.

Z. Mąkosa to kobieta pogranicza. Urodziła się w Kargowej, a całe zawodowe życie spędziła w pobliskim Siedlcu koło Wolsztyna. Po przejściu na emeryturę po wieloletniej pracy jako nauczycielka historii powinna była zająć zasłużone miejsce na kanapie przed telewizorem. Ona jednak postanowiła wywrócić do góry nogami utarte schematy i zaczęła pisać. O czym? Oczywiście o pograniczu. Jej pierwsza powieść „Wendyjska winnica. Cierpkie grona" w 2017 r. była nominowana do Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza, a w lutym 2018 została nagrodzona Lubuskim Wawrzynem Literackim.

„Winne miasto" to kolejna część „Wendyjskiej winnicy". Akcja powieści zaczyna się w lutym 1945 r. Bohaterka Matylda Neuman, zwana Tilą, jest córką Marty Neumann, która była główną postacią w pierwszej części cyklu. Tila przetrwała wojenną zawieruchę, ale ostatecznie trafia do Grünbergu, który po wojnie staje się Zieloną Górą i zostaje kompletnie sama w obcym mieście. Oprócz dalekiej rodziny, która mieszka w jej rodzinnym Chwalimiu, nie ma w zasadzie nikogo. Samotna, ukrywająca swoje niemieckie korzenie, żyjąca w strachu i pełna obaw o przyszłość, musi ukrywać się przed wywózką z rodzinnych stron. Bardzo obrazowo Z. Mąkosa ukazała na przykładzie Tili, jak mogło wyglądać życie Niemców, którzy zostali po zakończeniu drugiej wojny światowej w Polsce. Nienawiść do nich była tak wielka, że ludzie ci ukrywając swoją tożsamość, musieli drżeć o każdy kolejny dzień. Jednak obraz tzw. dzikiego Zachodu w pierwszych powojennych latach pokazany jest przez pryzmat wielu bohaterów, nie tylko młodej kobiety. Na ówczesną rzeczywistość możemy popatrzeć oczami żołnierza AK, agentów bezpieki i całej masy innych bohaterów, którzy przewijają się przez karty powieści. Opis tego, co się dzieje we wnętrzu człowieka, który zostaje rzucony w wir tak trudnych czasów i traci kontrolę nad swoim losem, jest uniwersalny. Tak mogło wyglądać wiele powojennych biografii. Autorka porusza bardzo trudne tematy, takie jak gwałt, głód, morderstwa i kradzieże, szantaże, rodzący się komunizm i walkę o przetrwanie samotnej kobiety.

„Wendyjska winnica. Winne miasto" jest szczególnie wartościowe dla zielonogórzan przez to, że Z. Mąkosa posłużyła sie całym szeregiem materiałów źródłowych przy konstruowaniu świata ukazanego w książce. Nie tylko skorzystała z dokumentów archiwalnych, fotografii, kart pocztowych czy kronik filmowych, ale też spotkała się z pionierami – pierwszymi mieszkańcami polskiej Zielonej Góry – i wysłuchała ich opowieści, tworząc na ich podstawie obraz odradzającego się po wojnie miasta wraz z jego mieszkańcami, architekturą, restauracjami, kawiarniami czy świętem Winobrania. Duże znaczenie także i w tym tomie „Wendyjskiej winnicy" ma winiarstwo. Tutaj autorka zaczerpnęła z wiedzy eksperta od tej tematyki, który przekazał jej informacje między innymi na temat działalności Wytwórni Win Musujących, która w 1945 r. została uruchomiona na bazie dawnej winiarni Gremplera. Tila po długich zmaganiach z losem odnajduje w końcu swojego wybawcę w postaci Grzegorza Zarugiewicza, nestora zielonogórskiego winiarstwa, i swoje małe miejsce na ziemi, czyli plantację winorośli na Winnym Wzgórzu, która tak bardzo przypomina jej chwalimską winnicę matki. Potem Tila trafia do wspomnianej już fabryki win, gdzie poznaje zasady produkcji trunku na różnych stanowiskach. Opisy jej pracy zostały stworzone na podstawie oryginalnych fotografii oraz filmów i wiernie oddają trudne realia panujące ówcześnie w wytwórni.

Jednak słowo „winne" w tytule książki nie odnosi się tylko i wyłącznie do trunku. Różne winy noszą w sobie wszyscy bohaterowie powieści, nie tylko Rosjanie czy Niemcy, ale i Polacy. Z różnym skutkiem próbują rozwiązać swoje dylematy moralne.

Z. Mąkosa umiejętnie prowadzi czytelnika przez rzeczywistość, którą ze wszelkimi niuansami wykreowała w książce. Pięknie opisuje świat przedstawiony, nawet gdy wcale nie jest on piękny. Szczegółowo przedstawia ówczesna realia, nie tylko tło historyczne, ale też zmiany w ludzkich nastrojach czy różne ciekawostki historyczne i wydarzenia natury obyczajowej, które naprawdę miały miejsce w pierwszych latach polskiej Zielonej Góry. Autorka dała nam przede wszystkim obraz tego, przez co niegdyś musieli przejść nasi przodkowie.

Każdy tom ma swojego człowieka

ROZMOWA Z ZOFIĄ MĄKOSĄ – AUTORKĄ CYKLU POWIEŚCI „WENDYJSKA WINNICA"

– Co sprawiło, że zaczęła pani pisać?
– Złożyło się na to wiele czynników. Najpierw sporo wolnego czasu po przejściu na emeryturę, bo dzieci opuściły już gniazdo, a wnuków jeszcze nie było. Odczuwałam też jakiś rodzaj niedosytu, przeświadczenie, że moje życie nie może się sprowadzić wyłącznie do obserwacji mijającego czasu i czekania na choroby i inne zmartwienia podeszłego wieku. Towarzyszyło mi przekonanie, że potrafię pisać i wśród różnych potencjalnych emeryckich zajęć właśnie pisanie odpowiadało mi najbardziej.

– Dlaczego nazwała pani swoją trylogię „Wendyjską winnicą" i skąd zainteresowanie winiarskimi tradycjami naszego regionu?
– Nie jestem znawczynią winiarstwa ani nie zgłębiłam winiarskich tradycji regionu. Do zajęcia się tą tematyką skłoniła mnie praca nad „Cierpkimi gronami", czyli pierwszym tomem „Wendyjskiej winnicy". Pisać o Chwalimiu i nie wspomnieć o jednym z najważniejszych zajęć ówczesnych mieszkańców, byłoby nierzetelnością. Zresztą mieszkałam w Chwalimiu w domu, w którym do 1945 roku była winiarnia. Tytuł trylogii pojawił się wtedy, gdy zapadła decyzja, że motyw winiarstwa będzie łączył wszystkie tomy, a wymyśliła go, o ile pamiętam, Monika Kaczmarek-Klose, dyrektor wydawnicza Książnicy. Chcę jednak podkreślić, że gdyby nie polscy winiarze, którzy przybyli po wojnie do Zielonej Góry oraz wysiłek przez nich włożony w ratowanie winnic i produkcję win, nie byłoby „Winnego miasta", bo osadziłabym akcję powieści w zupełnie innym miejscu.

– Pani powieści to fabuła powiązana faktami historycznymi. Można powiedzieć, że „Cierpkie grona" to faktografia Chwalimia, a „Winne miasto" – Zielonej Góry. Jak zdobywała pani informacje historyczne?
– Ścisłe wiązanie fabuły z faktami jest w moim przypadku skrzywieniem zawodowym. Nie wiem, czy istnieje taki gatunek literacki jak zbeletryzowany dokument, ale jeśli tak, na pewno moje powieści można do niego zaliczyć. Zbieranie informacji to szeroko zakrojona akcja angażująca nie tylko mnie. Miałam pomoc męża. Ogromny wkład w „Winne miasto" ma Przemysław Karwowski. Przy obu powieściach przeprowadziłam wiele rozmów, gromadziłam wspomnienia, czytałam opracowania naukowe i popularnonaukowe, prasę, pamiętniki i oglądałam kroniki filmowe. Każdy tom ma w pewnym sensie swojego człowieka, którego wspomnienia lub pomoc wpłynęły na wykorzystany zasób wiedzy. Trzeci tom, do którego zbieram materiały, też już ma swojego człowieka.

– W ciekawy sposób zostały ożywione postaci Grzegorza Zarugiewicza i innych zielonogórskich pionierów. Jakie były źródła informacji dotyczące tych osób oraz opisanych w powieści spraw obyczajowych?
– Ożywienie postaci Grzegorza Zarugiewicza było możliwe dzięki wspomnieniom jego wnuka Mariana Sobolewskiego i materiałom archiwalnym Lubuskiej Wytwórni Win. Inne postacie wyłowiłam ze wspomnień pionierów. Niektóre sprawy obyczajowe zaczerpnęłam z książki Tadeusza Dzwonkowskiego „Powiat zielonogórski w latach 1945-1948. Zarys dziejów politycznych". Dużo informacji dostarczyła mi rozmowa z panem Dzwonkowskim.

– Pisząc książki z cyklu „Wendyjska winnica" czuła się pani bardziej pisarką czy może historykiem?
– Jednym i drugim. Jeśli „robiło się w historii" kilka dziesiątek lat, trudno o tym zapomnieć. Jednocześnie starałam się nie nudzić czytelnika. Zdaję sobie sprawę, że nie do końca mi to wyszło, ale cóż… nikt nie jest doskonały.

– Ma pani jakieś pisarskie rytuały? Ulubione miejsce do pisania, porę dnia?
– Nie mam. Nie piszę nocą. Jeśli nie zasiądę do pisania przed południem, to raczej nie zrobię tego później. Potrzebuję spokoju, wyciszenia, koncentracji. Miejsce nie jest takie istotne.

– Czy pracuje już pani nad trzecią częścią „Wendyjskiej winnicy"?
– Wspomniałam, że coś czytam w związku z trzecim tomem. Nie jest to pierwsza książka. Mam za sobą trzy lub cztery pozycje. Zbieram też materiały w inny sposób. Dostarcza mi ich między innymi człowiek od trzeciego tomu. Trochę napisałam, ale już dwukrotnie wyrzuciłam kilkadziesiąt stron i zaczęłam od nowa. Wobec tego nie można powiedzieć, że już coś jest, bo jutro może nie być. Na razie pewna jest tylko wiedza, na której będę budowała fabułę.

Alina Polak-Woźniak

fot. Władysław Czulak/„Gazeta Wyborcza"

Zofia Mąkosa – urodziła się w Kargowej. Ukończyła studia historyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Pracowała jako nauczycielka w Siedlcu. Za powieść „Wendyjska winnca. Cierpkie grona" otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki. Mieszka w Linach koło Kargowej.

Sylwester Woźniak
Tomasz Kowalski

Władysław Sikora – dalajlama kabaretu

Wszelkie próby odtworzenia historii kabaretu w Zielonej Górze nie będą pełne, jeżeli nie wspomni się o roli, jaką w niej odegrał Władysław Sikora. Zresztą niejednokrotnie już jego osoba pojawiała się w naszym cyklu artykułów poświęconych temu zagadnieniu. W. Sikora był i jest organizatorem i kreatorem zielonogórskiego środowiska kabaretowego, a także teoretykiem sztuki kabaretowej.

Wbrew pozorom W. Sikora nie był od najmłodszych lat skory do żartów i rozrabiania. W czasach szkolnych raczej spokojny, dlatego trudno wtedy było go sobie wyobrazić jako przyszłego artystę kabaretowego. Z tą sztuką spotkał się w pierwszej klasie technikum mechanicznego. Jego sukces leżał w tym, iż nikt go dobrze nie znał i W. Sikora mógł udawać dowolną postać. Wówczas wszyscy uwierzyli, że

ma osobowość nadającą się na scenę.

Wydawać by się mogło, że kabaret to w jego życiu mało istotny epizod, taka szkolna przygoda. Studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej zrobiły z niego dobrego specjalistę od łączności telefonicznej, a także nauczyły podstaw organizowania i planowania właściwych wszystkim umysłom ścisłym. W czasie obozu integracyjnego poznał się z Dariuszem Kamysem (Kamolem), aktorem, autorem tekstów, występującym kiedyś w kabarecie Potem, obecnie w Hrabi. Ta znajomość zaprocentowała w późniejszych latach powstaniem licznych formacji kabaretowych, a w końcu Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego.

Okres postudencki W. Sikora rozpoczął od obowiązkowej służby wojskowej. Wówczas to na nocnej warcie przekonał swojego mającego wkrótce wstąpić w związek małżeński kolegę, iż właściwie nie warto się żenić. Tak długo drążył ten temat, aż kolega przyznał mu rację i kilka dni przed ceremonią się rozmyślił. Później W. Sikora został monterem telefonicznym i chodził z wielką torbą wypakowaną narzędziami, by instalować oraz naprawiać telefony. Czasem klienci wyprowadzali go z równowagi. Na przykład, gdy instalował telefon u jednego z profesorów Wyższej Szkoły Pedagogicznej, to musiał ciągle wysłuchiwać nieznośnej gadaniny żony uczonego. W akcie zemsty postanowił przewrócić stół, pod którym dokonywał montażu. Tyle, że na tym stole znajdowały się długo opracowywane fiszki, które rozsypałyby się po podłodze i niewinny profesor straciłby efekty swojej ciężkiej pracy. Na szczęście W. Sikora się powstrzymał.

Po pewnym czasie postanowił rzucić pracę w telefonach. Został wówczas pierwszym kierownikiem klubu studenckiego Gęba, w którym spotykała się młodzież chcąca grać w kabarecie. Wówczas to W. Sikora stał się organizatorem tego środowiska, gdzie niejako był odpowiedzialny za jego zaplecze. Jednak w skład grupy kabaretowej trafił przez przypadek. Zaproponował Kamolowi i Krzysztofowi Langerowi (obecnie kabaret Paka) pisanie tekstów, ale sam nie chciał występować. W którymś momencie jednak musiał wyjść na scenę, co mu się spodobało i został na niej do dzisiaj. To był jego nowy początek, jego drugie narodziny.

W. Sikora posiada cechy, które sprawiły, iż stał się prawdziwym dalajlamą kabaretu. Po pierwszej Pace, na której formacja Potem zdobyła tylko wyróżnienie, W. Sikora pojął, jak należy tworzyć przedstawienia. Następne Paki należały już do niego. Kabaret Potem zdobył wtedy Grand Prix dwa lata z rzędu. W. Sikora zaczął organizować inne projekty, na przykład „Zieloną Gęś" Gałczyńskiego, Dziadowskie Czwartki. Gdy był szefem kabaretu Drugi Garnitur, wpadł na pomysł pisania dwóch ramówek: letniej i zimowej. Gdy widownia reagowała zbyt niemrawo, to grano ramówkę zimową, gdzie były skecze mocniejsze, mające rozgrzać publiczność. Gdy reagowała żywiołowo – letnią, bo było wiadomo, że występ się uda. W. Sikora kiedy sam nie występował, siedział na widowni i dawał latarką sygnały, które pozwalały aktorom zorientować się, jak mają grać, to znaczy szybciej czy wolniej. Joanna

fot. Archiwum prywatne

Dariusz Kamys i Władysław Sikora (z prawej) w programie „Różne takie story", koniec lat 90. XX wieku

Kołaczkowska będąc kiedyś na scenie przez cały czas widziała czerwone światło i była przekonana, że musi przyspieszyć grę i dlatego ją przyspieszała. Po spektaklu okazało się, że było to nie światło latarki W. Sikory, tylko światełko kamery.

W. Sikora jest człowiekiem bardzo poukładanym,

posiada własne teorie na każdy temat

i to takie, które można by uznać za dziwne. Uważa na przykład, że chciałby zapamiętać moment swojej śmierci, skoro nie pamięta tego, jak się rodził. Potrafi zjednywać sobie ludzi i zawsze służy pomocą wszystkim tym, którzy chcą poznać sztukę kabaretową. Dzięki jego zaangażowaniu w Gębie tworzyły się nowe formacje, jak np. Drugi Garnitur, Żżżżżżż, Law Law Law, Bez Żyły Wałbrzych. Z jego inicjatywy zaczęły powstawać produkcje filmowe, zarówno długo-, jak i krótkometrażowe. Duża aktywność sprawiała, że przypłacał ją zdrowiem. Jeden z filmów dał mu tak w kość, że musiał położyć się w szpitalu w Ełku. I tam nie opuszczało go jednak poczucie humoru! Koledzy odwiedzający go dowiadywali się, że w kroplówce podawana jest jajecznica czy ziemniaki ze schabowym. Na szpitalnej szafce zawsze miał lekturę w postaci pism dla panów – motoryzacyjnych i nie tylko.

Tomek Kowalski wspomina: „Któregoś dnia spotkałem Władka w Gębie. Mówię mu, że znalazłem 450 marek DDR i jaka duża to dla mnie suma. Mogę za to kupić pół simsona (kultowy motorower produkowany w NRD, który kosztował 900 marek). Na co Władek flegmatycznie: Po co ci pół simsona? Jak będziesz na tym jeździł? Innym ulubionym dowcipem Władka jest malowanie twarzy mazakiem uczestnikom imprezy, którzy posnęli z nadmiaru płynów procentowych. Władek pisze im coś na twarzach i rysuje. Imprezowicze wracając rano do domu bardzo się dziwią, że wzbudzają taką sensację. Władek jest też przewidującym człowiekiem, np. zawsze siada tyłem do kierunku jazdy pociągu, a ciężkie walizki umieszcza na półce tak, aby nie zasunęły się na pasażera, czyli na niego".

W. Sikora stworzył teoretyczne podstawy współczesnego kabaretu w Polsce. Określił zasady, według których należy tworzyć spektakle (przedstawił je w książce „Nie tylko... kabaret Potem" z 1998 roku). Przede wszystkim zaapelował przeciwko kalaniu sztuki kabaretowej występami komercyjnymi. Z tego powodu bardzo rzadko pojawiał się w telewizji, a jeżeli już, to na własnych zasadach. Uważał, że należy grać spokojnie, szybko dostosowywać się do sytuacji na scenie, nie opowiadać tego samego dowcipu dwa razy. Twierdził, że gra się dla publiczności, którą należy rozbawić. Oczywiście tych zasad jest o wiele, wiele więcej. Płynie z nich obraz człowieka, który pracuje dla idei, nie zaś dla pieniędzy. Świadczy również o tym jego rezygnacja z prowadzenia zajęć na Uniwersytecie Zielonogórskim, gdy stwierdził, że nakład jego pracy w tym przypadku nie jest wystarczający. Wołał ograniczyć się tylko do animacji życia kabaretowego w Gębie, chociaż nigdy nie otrzymywał za to pieniędzy.

Warto przybliżyć sylwetkę W. Sikory, bez którego nie mogłoby powstać Zielonogórskie Zagłębie Kabaretowe. Nie jest on osobą tak rozpoznawalną wśród publiczności, jak wielu jego wychowanków, ale wielu ludzi związanych z kabaretem w Polsce niezwykle go ceni. W. Sikora unika fleszy i wielkich komercyjnych imprez. Duże zaangażowanie w życie kabaretowe sprawiło, że nigdy się nie ożenił. Jego żoną stała się sztuka kabaretowa.

Irena B. Jamniczek

Ulica Wandy

Kochamy pizzę, dlatego nasza trójka umówiła się w pizzerii położonej przy ul. Wandy. Jednak koleżanka spóźniała się na spotkanie. Po półgodzinie padła zdyszana na krzesło przy stoliku, tłumacząc, że dopiero co wróciła ze stolicy, gdzie zwiedzała Muzeum Polskiej Wódki.

Zaaferowana szybko wybrała danie z karty i zaczęła opowiadać o swojej podróży. Kiedy skończyła, profesor zdjął okulary i zrobił poważną minę. – Jak to? –zapytał. – Tylko po to pojechałaś do Warszawy, aby zobaczyć jak wytwarza się wódkę? Przecież my w Zielonej Górze mamy swoje tradycje związane z produkcją różnych znakomitych trunków. O, choćby tutaj niedaleko, znajduje się wiele pamiątek po tej produkcji. I wtedy zaczęła się opowieść profesora o tym, że przed wojną Krautstrasse, czyli Wandy była znana z tego, że w większości zamieszkana była przez ludzi związanych z uprawą winorośli i wytwarzaniem wina. Przy obecnej ulicy Boduena 1, dawnej An der Kinderbewahranstalt, znajdowała się wytwórnia szampanów Fritza Briegera, w niej mieściła się część mieszkalna i produkcyjna. Mieszkanie było przeznaczone dla dyrektora, zaś na dole była prowadzona produkcja. W okresie jesienno-zimowym na terenie fabryki funkcjonował wyszynk, aby mieszkańcy mogli spróbować miejscowych wyrobów. Zresztą nie odbiegały one zbytnio jakością od znanych szampanów z Francji, gdyż były produkowane taką samą techniką. Od 1917 r. wytwórnią zarządzała córka Fritza, Martha Gischke. Po wojnie budynek należał do Lubuskiej Wytwórni Win. Funkcjonowały tam tłocznia, fermentownia, spedycja oraz dział zajmujący się pasteryzacją i myciem butelek. Po zamknięciu LWW w 1999 r. budynki zaczęły popadać w ruinę. Na szczęście udało się je odrestaurować. W jedynym z nich znajduje się cerkiew greckokatolicka. Co ciekawe, remont został przeprowadzony w taki sposób, że obiekt przebudowano tylko minimalnie. Dodano do niego jedynie kopułę. W budynku przy ul. Zamkowej znajdują się mieszkania.

Słuchając tego wykładu, zrobiłam minę wyrażającą zachwyt. Nie wiem tylko, czy nie była ona spowodowana raczej doskonałą pizzą z leśnymi grzybami... Już miałam skomentować jej smak, kiedy zadzwonił znajomy dziennikarz. Opowiedział, że archeolodzy poszukujący śladów dawnego zamku, który miał znajdować się w okolicach ul. Wandy, Zamkowej i Boduena, wykopali pewne artefakty. Serce zabiło mi mocnej na myśl, że może jednak... lecz okazało się, że zamku tutaj nie było. Odnaleziono za to pozostałości po dawnych winnicach. Mina mi zrzedła. Przecież przemądrzały profesorek o tym przed chwilą opowiadał! Na wykopalisku odkryto też ślady kultury łużyckiej i różne przedmioty z okresu wpływów rzymskich. To przecież prawdziwa sensacja! Zaraz po odłożeniu telefonu opowiedziałam o tym towarzyszom. Od razu uznaliśmy to za pretekst do dalszego świętowania i biesiadowania. Trzeba było zamówić kolejną pizzę, wybór jednak nie należał do łatwych, gdyż tyle interesujących pozycji kusiło w menu…

Mieczysław Wojecki

Jagodowe Wzgórze ma 210 m n.p.m.

W marcu 2001 roku „Gazeta Wyborcza-Zachodnia", redagowana w Zielonej Górze, prowadziła Ligę Szóstoklasistów i co tydzień zadawała uczniom zagadki z różnych przedmiotów. Nieświadoma kłopotów, w jakie się pakuje, zapytała o najwyższe miejskie wzniesienie. Dzieci odpowiedziały tak, jak dotąd pisano w przewodnikach: Wzgórze Braniborskie, Góra Tatrzańska, zielonogórska Gubałówka.

Banalne pytanie o najwyższy punkt w mieście wywróciło do góry nogami teorię na temat zielonogórskich pagórków. Wszak każdy jest specjalistą od lokalnej geografii i wie, że Zielona Góra to polana wśród lasów, położona na siedmiu wzgórzach. Prof. Stanisława Zajchowska z poznańskiego uniwersytetu porównywała nasze tereny do Pogórza Sudeckiego. Ta pewność redakcję zgubiła, bo okazało się, że ile jest map i

ilu fachowców, tyle odpowiedzi.

Większość oczywiście stawiała na Wzgórze Braniborskie.

Pewność redakcji zachwiał na godzinę przed ogłoszeniem konkursu nauczyciel w Gimnazjum nr 3. Według niego najwyższe wzniesienie w Zielonej Górze to Gubałówka (201 m n.p.m.), znajdujące się tam, gdzie są działki za biskupią rezydencją. Fachowcy z Wojewódzkiego Ośrodka Dokumentacji i Geodezji twierdzili, że najwyższym wzniesieniem jest Góra Tatrzańska (198 m n.p.m.). Autor przewodnika po Zielonej Górze podał, że Wzgórze Braniborskie jest najwyższe (202,6 m n.p.m.). Co do wysokości Góry Tatrzańskiej potwierdził opinię geodetów. Inny autor przewodników tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmił, że najwyższe w mieście jest Wzgórze Braniborskie i tak ma być. Potem wielką falą znów ruszyli szóstoklasiści, którzy za najwyższe w mieście uznali między innymi Wzgórze Sikorowe i Górę Wilkanowską (leżą poza granicami administracyjnej Zielonej Góry). I nagle sytuacja stała się beznadziejna.

Po czarnym czwartku (dzień ogłoszenia konkursu), w piątek pojawiłem się w redakcji gazety. Przyszedłem z plikiem map i palcem wskazałem najwyższe wzniesienie, zaznaczając na planach miasta z 1984 i 1988 r. wysokość 206,7 m n.p.m. Po powrocie do domu doszedłem do wniosku, że być może w pobliżu wysokości 206,7 m n.p.m. jest wyższe wzniesienie. Udałem się do miejskiego wydziału geodezji i gospodarki mieniem i kupiłem tam szczegółową mapę południowo-zachodniej części miasta w skali 1:1000. I to był strzał

Jak się dostać na Jagodowe Wzgórze

* Pierwsza trasa wiedzie od garaży przy ul. Aleksandra Zawadzkiego „Zośki" prosto do skrzyżowania ze szlakiem czarnym, po prawej stronie którego zachowały się pozostałości szybów górniczych. Następnie trzeba minąć linię elektryczną pojedynczą i po około 300 m dojść do tablicy z napisem Jagodowe Wzgórze. Tuż za tablicą zaczynają się strome stoki o nachyleniu do 45 stopni.
* Druga trasa prowadzi od motelu przy ul. Łużyckiej wzdłuż linii energetycznej. Przy ósmym słupku trakcji trzeba skręcić w prawo i po przejściu około 125 m będzie Jagodowe Wzgórze.
* Trzecia trasa na szczyt prowadzi od strony Wilkanowa – drogą wybrukowaną do wieży i Ochli, szlakiem czerwonym do niebieskiego i czarnego.

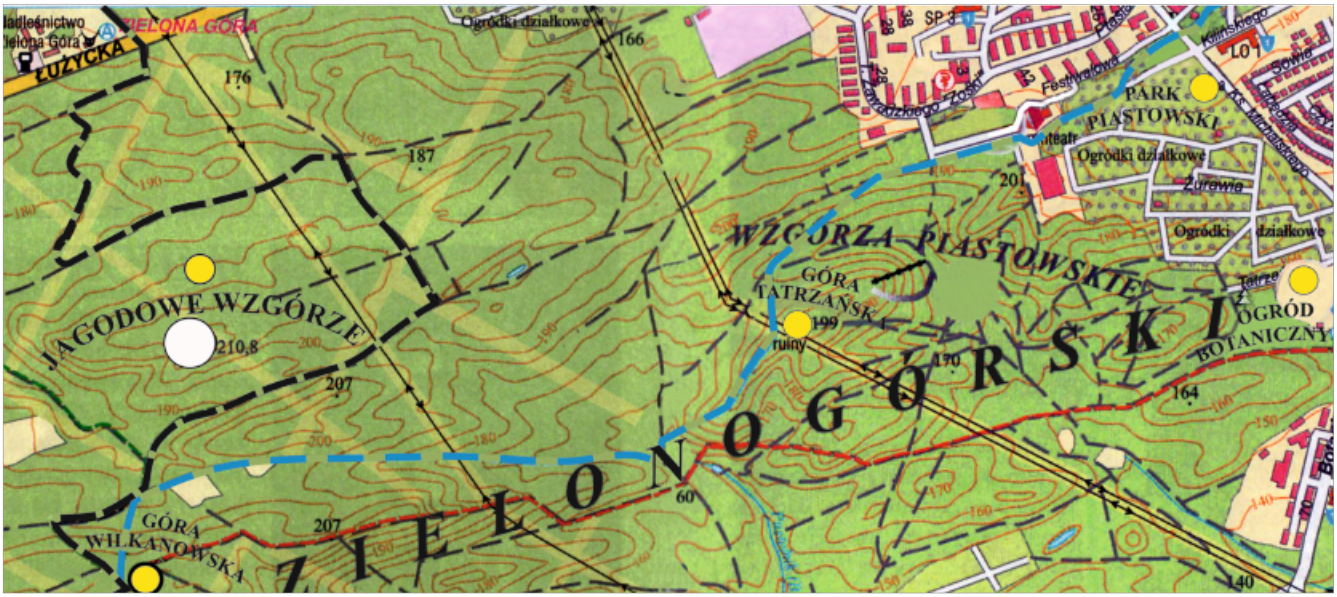

Przed wejściem na Jagodowe Wzgórze stoi tablica z informacją o tym wzniesieniu

w dziesiątkę. Na mapie zauważyłem większą wysokość od poprzednio wskazanej przez różnych specjalistów i młodzież. W ten sposób odczytałem najwyższe wzniesienie w Zielonej Górze.

Redakcja coraz bardziej napierała na zorganizowanie wyprawy na tę górę. Jednak najpierw trzeba ja było znaleźć w terenie, co nie było łatwe. Pomogła mi w tym dalsza analiza zakupionej mapy. Okazało się, że aby na nią trafić i wspiąć się po jej zboczu na szczyt, najlepiej wędrować wzdłuż linii energetycznej od strony ulicy Łużyckiej. I tak się stało. Aby lepiej poznać trasę w kierunku poszukiwanego wzniesienia – dotychczas nienazwanego, zarośniętego lasem – przed zaplanowaną przez redakcję wyprawą odbyłem najpierw z uczniami szkoły sportowej znajdującej się przy ul. Zamenhofa, potem z kolegami z Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego rekonesans tej trasy, ale od strony amfiteatru. Odkryte najwyższe wzniesienie Zielonej Góry oznaczyłem w terenie gałęziami i kamieniami.

Sprzed amfiteatru

w Niedzielę Palmową 8 kwietnia 2001 r.

o godzinie 12.00, mimo niesprzyjającej pogody wyruszyła wyprawa składająca się z 76 zielonogórzan. Najpierw szliśmy szlakiem niebieskim (około 3,5 km) przez Wzgórze Piastowskie w kierunku Wilkanowa. Po minięciu podwójnej linii energetycznej szliśmy po wzgórzu 203 m n.p.m., omijając Górę Tatrzańską, a następnie do źródełka Pustelnik (tworzy je sześć wysięków). Pustelnik ma 7,8 km długości. Rzeczka nosi inne nazwy, np. Sącznik, Srebrzanka, tworzy zalew w Ochli i wpada do Śląskiej Ochli, a ta do Odry. Jej wody charakteryzują się w górnej części źródliska pierwszą klasą czystości zarówno pod względem fizykochemicznym, jak i bakteriologicznym. Po dojściu do czarnego szlaku oglądaliśmy pozostałości szybów kopalni węgla brunatnego i inne zapadliska. Skręciliśmy w lewo, na zachód i po przejściu około 300 m (po minięciu linii energetycznej pojedynczej), po prawej stronie ukazało się wzgórze, do którego zdążaliśmy. Według Marty Wiler z Nadleśnictwa Zielona Góra wzniesienie leży na działce leśnej 913 p, gdzie rosnące sosny mają po około 80 lat.

Tę wyprawę prowadził ówczesny redaktor naczelny „GWZ" Maciej Krzyślak i ja jako przewodnik. Wśród jej uczestników byli prezydent miasta Zygmunt Listowski, kronikarka Ewa Duma, Zdzisław Piotrowski zwany Szambelanem, słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku, gimnazjaliści, studenci i dziennikarze. O godz. 15.30 jej uczestnicy zdobyli szczyt. Pomimo deszczu nikt nie zawrócił z drogi. Kiedy cel został osiągnięty, prezydent Listowski, redaktor Krzyślak i ja wbiliśmy w ziemię proporzec z barwami miasta i logotypem „Gazety Wyborczej". Po tej części odbył się konkurs na nazwę wzniesienia. Zwyciężyło Jagodowe Wzgórze, zaproponowane przez Mirosławę Sobecką, za którą opowiedziało się 19 zdobywców. O trzy głosy mniej miała Góra Bachusowa. Inne proponowane nazwy to: Wzgórze Wyborcze, Wzgórze Zagłoby, Wzgórze Zachodnie, Wzgórze Pokoju, Srocze Wzgórze, Zielonogórski Olimp, Góra Sałwoja, Góra Pomyłek, Góra Bachusowa, Góra Belferska, Góra Wojeckiego, Góra Gremplera, Góra Keplera, Góra Noblistów, Góra Praojców, Góra Zielona, Góra Porozumień, Góra Paradyskich, Dzikowe Wzgórze, Góra Kukurydziana, Zielona Góra, Zielone Wzgórze, Lubusz, Lubuszanka, Zielonogórzanka, Tajemne Wzgórze.

Miasto na wyniesieniach

* Wzgórze Braniborskie, zwane też Górą Pasterską, na południowy wschód od centrum – 202,6 m n.p.m.
* Wzgórze Schillera, także nazywane Wzgórzem Grzybowym, na zachód od ul. Wrocławskiej – 195,5 m n.p.m.
* Wzgórze przy al. Słowackiego, naprzeciw dawnego cmentarza żydowskiego u zbiegu ulic Wrocławskiej i Chmielnej – 175,5 m n.p.m.
* Wzgórze Maślane w lesie na wschód od osiedla Wazów – 175 m n.p.m.
* Inne to: Góra Ceglana pomiędzy ulicami Wrocławską i Podgórną, nazywana także Wzgórzem Winnym, na którym stoi Palmiarnia; wzgórze przy ul. Kożuchowskiej; Wzgórza Piastowskie, na które składają się cztery wyniesienia.

Krajobraz wzdłuż trasy, po której wędrowaliśmy, został ukształtowany przez dwa ostatnie zlodowacenia. Pierwsze miało miejsce 125-190 tys. lat temu. Lądolód o grubości 800 m dotarł aż do Wzgórz Dalkowskich w okolice Nowego Miasteczka. Drugi lądolód ukształtował stoki Wału Zielonogórskiego, w obrębie którego znajduje się Wzgórze Piastowskie i Jagodowe Wzgórze. Dotarł tu 21 tys. lat temu i zatrzymał się w okolicach, gdzie obecnie jest osiedle Pomorskie. Stoki, górki, pagórki, wzniesienia, terasy, które spotykamy wokół, to wypadkowa tych dwóch sił. Teren naszej wędrówki to obszar moreny spiętrzonej o zaburzeniu glacitektonicznym. Utwory starsze często wchodzą w młodsze, tworząc kry zwane porwakami.

Na początku 3,5-kilometrowej drogi na Jagodowe Wzgórze (i dalej na Górę Wilkanowską) obok amfiteatru umieszczono tablicę z planem ścieżki przyrodniczoleśnej do wieży. Na niej zaznaczono pięć przystanków, m.in. ptasi budzik, drzewa, ekologiczna rola lasu, powalone drzewo i Jagodowe Wzgórze.

Okazuje się, że czas odkryć geograficznych nie minął bezpowrotnie. Jagodowe Wzgórze jest tego dowodem. Wystarczy mieść zapał, chęć do działania i śledzić lokalne wydarzenia. Wszelkie odkrycia rodzą się z ciekawości umysłu człowieka, a niekiedy i z przypadku. Wędrując na Jagodowe Wzgórze można wypocząć aktywnie, przy okazji pogłębić swoją wiedzę o środowisku leśnym i geograficznym.

Ciekawostki

Zlewnia cieku Pustelnik wynosi 11,23 km kw. Średnie opady roczne okolic Jagodowego Wzgórza to 554 mm.

W 1838 r. Carl Pohlenz odkrył węgiel brunatny w okolicy Zielonej Góry.

W latach 1908-1919 na Wzgórzu Piastowskim założono kąpielisko, ogród botaniczny i leśny teatr, znany obecnie jako amfiteatr im. Anny Germann.

Nazwę Wzgórze Piastowskie (Piasten Höhe) nadano w 1897 r. w 500. rocznicę śmierci Henryka XIV Wróbla, dla którego wzniesienia pod Zieloną Górą były ulubionymi terenami łowieckimi.

Izabela Korniluk

Historia jednego ujęcia

Do naszych czasów przetrwało niewiele zdjęć Zielonej Góry ukazujących miasto bezpośrednio po wojnie, na których widoczne są niemieckie napisy, a po ulicach już chodzą polscy mieszkańcy dawnego Grünbergu. Jedno z takich unikatowych ujęć zachowało się w zbiorach Hieronima Rutkowskiego, wieloletniego głównego księgowego w Zastalu, który przybył do miasta wraz z rodzicami 10 czerwca 1945 r.

Moment przyjazdu do nowego miejsca zamieszkania H. Rutkowski pamięta bardzo dobrze, gdyż miał już 19 lat i był dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem wkraczającym w dorosłe życiu.

Po przyjeździe do Zielonej Góry rodzice H. Rutkowskiego wybrali sobie dom na ulicy Chopina. „Mój ojciec i inni przybysze chodzili po prostu po mieście i penetrowali różne mieszkania. Każdy chciał wybrać dla siebie i swojej rodziny najlepsze, najodpowiedniejsze lokum, najlepiej w centrum miasta. Myśmy zajęli budynek na ulicy Widok. Był to duży dom z czterema pokojami, ale nasza rodzina też była spora, bo liczyła pięć osób" – wspominał. Dom był w zasadzie wyposażony w najpotrzebniejsze do życia rzeczy: meble, pościel, sprzęty kuchenne i, co najistotniejsze było wówczas dla młodego Hieronima i jego dwóch braci, zabawki. Rodzina zamieszkała w domu dawnego niemieckiego oficera i zaczęła nowe życie. Podczas pierwszych dni w nowym miejscu H. Rutkowski był świadkiem opuszczania przez dawnych grünberczyków swoich domostw i wywożenia ich na dworzec kolejowy. „Z okien naszego domu obserwowaliśmy stojących w kolumnie Niemców przygotowanych do wymarszu na dworzec. Pewnego dnia udaliśmy się tam z ciekawości zobaczyć, jak wygląda opuszczanie miasta przez Niemców. Byli oni lokowani do wagonów osobowych, dodam, że nie towarowych i odjeżdżali w stronę granicy. Panował tam spory harmider, ponieważ, szczególnie starsze kobiety, głośno płakały i zawodziły, a dzieci krzyczały. Mężczyźni natomiast z zaciętymi minami obserwowali nas i całą tą sytuację. Myślę że byli źli, bardzo źli, ale nic nie mogli zrobić".

Jeszcze przed wojną H. Rutkowski wstąpił do harcerstwa i po przyjeździe do nowego miasta kontynuował swoje zainteresowania, organizując w mieście pierwszą drużynę harcerską w szkole przy placu Słowiańskim. Drużyna nosiła imię Roberta Baden-Powella, na część angielskiego organizatora skautingu. I do harcerstwa właśnie przydały się H. Rutkowskiemu i jego towarzyszom zabawki, które pozostawili po sobie młodzi niemieccy mieszkańcy Grünbergu. „Syn dawnego właściciela mieszkania, które zajęliśmy, był w Hitlerjugend. Tak więc pozostało po nim sporo zabawek, które mogliśmy wykorzystać w naszej drużynie: trąbki, bębenki, werbelki, sygnałówki. Nawet proporczyki. Myśmy te wszystkie niemieckie kolory zamalowywali na białe i czerwone barwy i dzięki temu byliśmy bardzo dobrze wyposażeni. Dodatkowo niektórzy z nas mieli swoje mundury harcerskie. Byliśmy tacy dumni, chodząc po ulicach miasta w tych naszych mundurach. To były takie czasy, iż radość sprawiało nam to, że mogliśmy już demonstrować naszą polskość".

Tytułowe ujęcie zostało zrobione 1 maja 1946 r. podczas pochodu. Na pierwszym planie widzimy H. Rutkowskiego w mundurku harcerskim prowadzącego swoją drużynę ulicą Żeromskiego, która mija właśnie dawną stację benzynową (lewa strona zdjęcia). Niektórzy z uczestników pochodu mają właśnie te bębenki, trąbki i proporczyki, które wcześniej służyły niemieckim młodzieńcom Grünbergu do zabaw, a zostały przerobione na potrzeby polskich harcerzy. Większość uczestników pochodu jest w mundurkach harcerskich, ale, szczególnie dziewczęta, ubrane są w białe bluzeczki i spódniczki. Kilka z nich jest w polskich strojach ludowych. Jednakże na zdjęciu najbardziej fascynująca jest ulica i kamienice, które zachowały się w całej okazałości. Widać, że domy są jeszcze niezagospodarowane, w niektórych straszą powybijane okna. Jednak na frontach widnieją już flagi biało-czerwone. A niespełna rok wcześniej powiewały tam flagi ze swastykami. W tle widać budynek dzisiejszego banku PKO, jednego z dwóch w mieście obiektów użyteczności publicznej, które były zniszczone. „Kamienica ta była wypalona. To był przed wojną bardzo dobrze prosperujący dom konfekcyjny. Druga

fot. Archiwum bohatera tekstu

Hieronim Rutkowski prowadzi drużynę harcerską w trakcie pochodu 1 maja 1946 r. ul. Żeromskiego

zniszczona kamienica, to był budynek na rogu ulic Sobieskiego i Rynku, obecnie BGŻ. Mówiło się, że zniszczeń dokonali szabrownicy albo żołnierze radzieccy. Najpierw splądrowali te obiekty, a potem podpalili" – wspomina H. Rutkowski.

Na omawianym zdjęciu widać już dokładnie szyldy w języku polskim nowych sklepów i zakładów, ale jeśli powiększymy obraz, gdzieniegdzie znajdziemy i niemieckie napisy. Zamalowywanie niemieckich nazw sklepów zaczęło się bardzo wcześnie. Jednak farba, której używano w tym celu, niedostatecznie zakrywała dawne szyldy. H. Rutkowski uważa, że „farba, która była używana do zamalowywania napisów bardzo szybko, po roku czy dwóch, znikała i niemieckie napisy pojawiały się na nowo. Niemcy po prostu mieli lepsze jakościowo emulsje, albo Polacy gorsze farby. Zresztą administracja bardzo dbała o to, aby zamalowywać te przedwojenne napisy, ale nie zawsze to się udawało".

Polscy mieszkańcy dawnego niemieckiego miasta często znajdowali w swoich nowych domostwach pewne niespodziewane pozostałości czy zapasy, które ukryli poprzedni właściciele przekonani, że gdy powrócą, będą mogli nadal normalnie funkcjonować. Rutkowscy także dokonali takiego odkrycia. „W pomieszczeniu, w którym znajdował się brykiet do palenia w piecu, po wykorzystaniu całego materiału opałowego ukazała się naszym oczom dodatkowa ściana zbita z desek. Zapewne wykonano tę skrytkę kilka dni przed ewakuacją, ponieważ deski były świeże i znacznie różniły się od innych w izbie. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w tym dodatkowym pomieszczeniu czy raczej schowku zobaczyliśmy około pięćdziesięciu słoików z przetworami mięsnymi – kiełbasy, boczek, słonina. Same smakołyki! Poza tym były tam dwa rowery, aparat fotograficzny oraz sporo rozmaitego sprzętu potrzebnego w codziennym życiu" – wspomina H. Rutkowski. Znaleziska takie dla powojennych mieszkańców Winnego Grodu były nie lada gratką i rarytasem. Pokutuje opinia, iż polscy mieszkańcy dawnych niemieckich miast znalezione sprzęty, a w szczególności słoiki z przetworami i jedzenie wyrzucali. Obawiano się, iż Niemcy specjalnie zatruwali te zapasy, by zaszkodzić lub też pozbyć się nowych lokatorów. Nic bardziej mylnego. Produkty znajdowane bezpośrednio po wojnie, tak jak w przypadku rodziny H. Rutkowskiego, były konsumowane z wielkim apetytem przez znalazców, ponieważ były smaczne i pożywne, a w dobie problemów z produktami pierwszej potrzeby stanowiły znakomity zapas dla całej rodziny. „Oczywiście krążyły różne plotki, opinie, były różne obawy, ale jak już człowiek raz spróbował i posmakował, to nie mógł przestać" – twierdzi H. Rutkowski. – „Tym bardziej że były problemy z aprowizacją".

Wspomnienia pierwszych polskich mieszkańców Winnego Grodu są bezcennym źródłem do poznawania jego nieodległej, bo tylko 70-letniej, polskiej historii miasta. Zielona Góra miała to szczęście, że prawie nie została zniszczona w wyniku działań wojennych. Każda fotografia z drugiej połowy lat czterdziestych poprzedniego stulecia, pokazująca jeszcze niemiecką, ale już za chwilę polską Zieloną Górę, jest unikatem i niewątpliwym rarytasem.

Od autorki: Wszystkie informacje i zdjęcie uzyskałam podczas rozmowy przeprowadzonej z Hieronimem Rutkowskim 7 lutego 2018 r. w Zielonej Górze.

Listy do redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze „Na Winnicy",

otóż w ostatnim numerze pisma uprzejmy pan Sylwester Woźniak pisze (nawiązując do moich wspomnień studenckich), że „brakuje monografii i innego rodzaju opracowań poświęconych życiu kulturalnemu w Zielonej Górze w latach 1945-1980". I zachęca czytelników, jak i zielonogórzan „do udostępnienia swoich wspomnień i opisywania tego, co działo się w miejskim życiu kulturalnym". Nawiązując do jego apelu proponuję Panu Redaktorowi (lub innemu autorowi) „sprzedanie" na początek może informacji, wspomnień na temat (w pewnym sensie, na pewno tytułowym) poprzedniczki obecnego magazynu „Na Winnicy", mianowicie periodyku „Winnica". Znalazłem w swoim archiwum – które powoli przekazuję „Norwidowi"" i innym bibliotekom w regionie (o ile zechcą) – stare numery „Winnicy" z lat 1984 i 1985; zapewne wyszło ich więcej. Kierował tą jednodniówką ZSMP nieżyjący już Jerzy Chłodnicki, w randze sekretarza, ale w stopce widzę m.in. nazwiska Andrzeja Bucka, Waldemara Mystkowskiego, Wiesława Hładkiewicza i innych. Wśród autorów zaś znajduję Andrzeja Toczewskiego, poetów Mieczysława J. Warszawskiego, Czesława Sobkowiaka, Annę Kwapisiewicz, Czesława Markiewicza, Władysława Klępkę i innych. A zatem istotne to dla miasta wydawnictwo i nawet jeśli „Na Winnicy" nie chce się przyznać do powinowactwa tematycznego, to może chociaż wydrukuje wspomnienie ze względu na zbliżony tytuł.

Eugeniusz Kurzawa

PS. I można by tak po kolei o różnych innych, nieistniejących już pismach zielonogórskich publikować kolejne odcinki.

Jako były mieszkaniec (przez 44 lata) województwa lubuskiego (Lubsko i Zielona Góra) skreślam parę słów na temat Waszego czasopisma. Myślę, że stworzenie i wydawanie tej gazety było trafne, zwłaszcza teraz (gdy Zielona Góra ma powiększony obszar), gdyż ma ona do zaoferowania wiele ciekawych tematów.

Od lat jestem zwolennikiem prasy lokalnej, w której można znaleźć bogactwo informacji regionalnych i opis barwny wydarzeń. W epoce globalizacji potrzebne jest utrwalanie lokalnej tożsamości.

W Waszej gazecie publikowane są treści na wagę złota. Uświadamiają nam zakorzenienie w małej ojczyźnie i nasze dziedzictwo kulturowe, które jest nam potrzebne jak zapach chleba czy zboża. Poznanie wartości, tradycji, duchowości i kultury naszej małej ojczyzny, w której się mieszka, jest naszym obowiązkiem. Gazeta pozwala nam bliżej poznać ludzi aktywnych i daje szansę wejścia w czar tej ziemi, na której przyszło nam żyć.

Wasze publikacje czyta się z przyjemnością. Gratuluję poziomu pisma wszystkim piszącym dziennikarzom, a zwłaszcza redaktorowi naczelnemu (za jego pracowitość), który jest ostoją pisma. Wykonujecie kawał dobrej roboty. Przedstawiacie różne obszary działalności, dokonania i inicjatywy w przestrzeni miasta.

Pismo Wasze jest wydawane w myśl pisarskiej zasady, która mówi, że należy tak skomponować wydawaną pracę, aby wywołała apetyt na... jeszcze. Wydaje mi się, że pismo ten wymóg spełnia z nawiązką.

Mieczysław Wojecki
Wejherowo

Arkadiusz Cincio

Kapliczka w winiarni

Jedną z głównych atrakcji turystycznych Zielonej Góry stanowiła niegdyś Lubuska Wytwórnia Win. Gości przyjmowano w zabytkowej piwniczce przystosowanej do organizowanych degustacji, która przez pracowników była żartobliwie zwana kapliczką.

Zakład był odwiedzany przez znane postacie życia politycznego i kulturalnego. Do najsłynniejszych gości należeli między innymi: Jan Kiepura, Lucjan Kydryński, Irena Santor, Bohdan Łazuka, Daniel Olbrychski, Michał Rola-Żymierski.

– Nie było znaczącej delegacji rządowej, partyjnej, w której programie nie było wizyty w Lubuskiej Wytwórni Win – wspominał Ryszard Bylica, kierownik działu inwestycji i robót budowlano-montażowych. – Nie mógłbym sobie przypomnieć tygodnia, żeby nie było przynajmniej kilku ekip. Wszyscy chcieli obejrzeć wytwórnię win. W ramach takiej bytności to przeważnie główny technolog albo ktoś z produkcji oprowadzał daną wycieczkę czy delegację po działach produkcyjnych. Kończyło się to degustacją naszych wyrobów w takim pomieszczeniu w piwnicy. Myśmy to nazywali kapliczką. Trzeba było przed wejściem się pokłonić, bo drzwi wejściowe miały gdzieś z półtora metra. W kapliczce były odpowiednie stoły, odpowiednie naczynia, no i była degustacja naszych wyrobów. Wszyscy mile wspominali, każdy zadowolony wychodził po tych degustacjach.

Niezwykle żywy opis wydarzeń związanych z salą degustacyjną przytoczył pracownik działu spedycji Jerzy Róg:

– Rozmawiamy z dyrektorem: Panowie, przebierzcie się jakoś elegancko, białe kitelki, koszulki, wszystko żeby było czyściutkie. Mówi: o godzinie pierwszej przyjeżdża delegacja ze Śląskiego Okręgu Wojskowego. Przyjechali czterema rosyjskimi czajkami. Dyrektor w świecie tych ładniejszych pań, inżynierów i magistrów. Była taka kapliczka, w której było 11 beczek. W każdej beczce 400 litrów. Pomieszczenie było udekorowane światłami, a ściany były wyłożone kamieniami. Wewnątrz było chłodno. Stoły i długie ławy dębowe robione przez naszych stolarzy. I proszę sobie wyobrazić, że przychodzą ośmiu czy dziewięciu. Witamy serdecznie. Dajemy na tacy eleganckie kielichy dwustugramowe ze szkła ciętego. Ktoś puścił „Hej, Winobranie! Barwny korowód ulicą dziś mknie". Początkowo sztywno. A później… Czekano, aż skończy się praca w wytwórni, o piętnastej, jak nawet umysłowi już wychodzą. Portierzy i kilku silniejszych żołnierzy ładowało panów pułkowników i generała do czajki.

Stanisława Czerepińska, wieloletnia kierowniczka laboratorium:

– Różnym osobom przypadał „zaszczyt" opowiadania o procesie technologicznym. Ale uczestnicy delegacji byli głównie zainteresowani tym, żeby zejść jak najszybciej na dół, do piwnicy, do kapliczki i popróbować tych win. Przy ścianie był rząd beczułek z nazwami win i kurkami. Były też dzbanki, z których ludzie sobie nalewali, próbowali. Każdy mógł sam sobie później iść po dolewkę, do której beczułki chciał. Języki się rozkręcały, czasem były jakieś śpiewy. Ludzie mieli dużo pytań.

– Niektóre wypowiedzi dotyczące sali degustacyjnej LWW mają charakter anegdotyczny. Jak winiarnia chciała, żeby grzańca robić na stoiskach, to szukaliśmy garnków. Pojechaliśmy do Krosna [Odrzańskiego], do jednostki. Tam kwatermistrz do kogoś dzwonił. Z rozmowy wynikło, że niektóre rzeczy odbywają się w kapliczce. On dzwonił chyba do księdza, który spytał: A czy ta kapliczka jest poświęcona? – wspominał Roman Wanatko, zajmujący się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku sprzedażą win produkowanych przez LWW.

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

Franciszek Opaska ocenia jakość wina w salce degustacyjnej

Popularna wśród byłych pracowników winiarni kapliczka żyje dziś jedynie we wspomnieniach. Przytoczone powyżej wywiady zarejestrowano w 2017 r. w trakcie realizacji projektu „Lubuska Wytwórnia Win w relacjach jej pracowników i mieszkańców Zielonej Góry". Pozostaje żywić nadzieję, że dawne piwnice wytwórni Gremplera w przyszłości będą pełnić funkcję centralnego miejsca odradzającego się winiarstwa lubuskiego. Scenariusz taki dziś wydaje się mało prawdopodobny. Należy jednak zaznaczyć, że miejsce to z ponad 170-letnią tradycją ma w sobie ogromny potencjał, który obecnie jest w dużej mierze niewykorzystany.

Lubuska Wytwórnia Win powstała w 1945 r. po przejęciu majątku niemieckiej firmy Grempler & Co. Początkowo produkowano tam, podobnie jak przed wojną, wino musujące. W 1948 r. zakład przestawił się na produkcję win owocowych. Swój rozkwit wytwórnia przeżywała w latach siedemdziesiątych, kiedy wyroby z Zielonej Góry trafiały do blisko 700 odbiorców w kraju i za granicą. Za najlepsze produkty były uważane gronowe wina ziołowe Monte Verde i Kora Lubuska, później przemianowana na Laur Lubuski. W 1996 r. wytwórnia obchodziła jubileusz 170-lecia, by w 1999 podzielić los wielu przedsiębiorstw państwowych, które nie przetrwały transformacji ustrojowej.

Bartłomiej Gruszka

Pierwsi zawodowi fotografowie

Historię atelier fotograficznych w przedwojennej Zielonej Górze można ograniczyć do zaledwie kilku miejsc i 22 fotografów. Pomimo tak skromnego grona ich spuścizna jest nieocenionym źródłem wiedzy o dawnych mieszkańcach, modzie, wydarzeniach, miejscach i budynkach uwiecznionych na zdjęciach, powielanych na kartkach pocztowych.

Początki profesjonalnej fotografii w Grünbergu związane są z Ottonem Linckelmannem i Gustavem Schwarzem. O. Linckelmann założył swój pierwszy zakład gdzieś przy dzisiejszej ulicy Moniuszki w 1858 r. Przybył on do Grünbergu z Berlina, gdzie prowadził studio fotograficzne mieszczące się przy Oranienstrasse 119. W 1868 r. przeniósł swoje atelier do nowo wybudowanej kamienicy przy Breslauerstrasse 5, później Holzmarktstrasse 23 (ul. Drzewna). Studio O. Lincklemanna było wówczas w pełni nowoczesnym zakładem, wyposażonym we wszystkie urządzenia niezbędne do wykonywania profesjonalnej fotografii. Północna ściana oraz strop studia mieszczącego się na piętrze były przeszklone. Zamontowano tam system przesuwnych kurtyn umożliwiający swobodną regulację dostępu naturalnego oświetlenia (sztuczne światło, czyli lampa magnezjowa dotarła do zakładów fotograficznych najwcześniej w latach 70. XIX wieku. W Grünbergu po raz pierwszy nowoczesne oświetlenie zastosował fotograf Emil Berger w 1893 r.). W studiu O. Linckelmanna znajdowała się niewielka ciemnia, w której wywoływano zdjęcia i gdzie przygotowywano światłoczułe płyty. Wówczas fotografowie często na własne potrzeby wykonywali niezbędne materiały fotograficzne. Wymagało to od nich dużej wiedzy z chemii oraz niemałych zdolności manualnych. Często byli uzdolnionymi malarzami, którzy sami wykonywali dekoracje będące tłem zdjęć. Zakład O. Linckelmanna w początkowych latach XX w. prowadził jego syn Peter. Fotografem była także jego wnuczka Olga Linckelmann, która w latach 30. XX w. miała swój zakład w Hamburgu. O, Linckelmann zmarł w Grünbergu w 1912 r.

fot. Archiwum autora

Zdjęcie w formacie carte de visite wykonane w atelier Gustava Schwarza. Lata 70. XIX wieku

W tym samym czasie co atelier Linckelmanna działało studio Gustava Schwarza, które mieściło się przy wąskiej uliczce odchodzącej od Berlinerstrasse (obecnie Jedności) w kierunku Neumarkt (plac Słowiański). Pierwsza informacja na temat działalności Schwarza jako fotografa pochodzi z 30 listopada 1865 r. Tego dnia w tygodniku „Grünberger Wochenblatt" ukazał się inserat reklamujący jego atelier. Fotograf zachęcał w nim do wykonywania zdjęć (zapewne z okazji zbliżających się świąt) z odpowiednim wyprzedzeniem, aby mógł je dostarczyć na czas. W ogłoszeniu G. Schwarz informuje również, że zdjęcia dzieci, jak i większych grup będą wykonywane wyłącznie w dni powszednie w godzinach porannych. Godziny przedpołudniowe były zapewne optymalne, zważywszy na porę roku (koniec listopada), aby wykorzystać jak najlepiej naturalne, dzienne oświetlenie. Fotografowanie przy świetle naturalnym wymuszało odpowiednio dłuższy czas ekspozycji, a osoba lub osoby fotografowane przez kilka, kilkanaście sekund musiały pozostawać w bezruchu. Było to trudne zwłaszcza w przypadku ruchliwych z natury dzieci.

Ciekawostką jest, że Schwarz oprócz tego, że zajmował się zawodowo fotografią, to prowadził także handel artykułami kreślarskimi. Był również uznanym litografem, autorem m.in. cyklu litografii z około 1875 r. przedstawiających widoki miasta. Zapewne jego zakład litograficzny mieścił się w tym samym miejscu co studio fotograficzne, a można tak sądzić na podstawie podpisu pod ogłoszeniem: „Gustav Schwarz Atelier für Photographie und Lithographie". Od 1876 r. reklamy atelier fotograficznego regularnie pojawiają się na łamach „Grünberger Wochenblatt". Dowiadujemy się z nich m.in., że zakład był czynny od godziny 9 do 16, a zdjęcia dzieci były wykonywane w godzinach od 11 do 14. G. Schwarz zmarł nagle 10 grudnia 1880 r. Kilka miesięcy później studio prowadził już jego następca Emil Berger.

Zarówno O. Linckelmann, jak i G. Schwarz wykonywali zdjęcia w technice mokrego kolodionu, przenosząc obraz na cienki papier albuminowy, który naklejany był na grubsze tekturki wielkości wizytówki, co zapobiegało zwijaniu się fotografii w rulon. Zdjęcia na kartonikach, tak zwane carte de visite, obok cabinet portrait były w połowie XIX i na początku następnego stulecia najbardziej popularną formą profesjonalnej fotografii.

Grzegorz Biszczanik

Przeżycia Zdeňki Kodymovej

Podczas drugiej wojny światowej w Grünbergu znajdowała się spora grupa robotników zmuszanych do pracy w miejscowych zakładach, których dotychczasowe profile przestawiono na produkcję wojenną. Chcąc nie chcąc ich losy poprzez zawieruchę wojenną związane były z naszym miastem. Jedną z takich robotnic przymusowych była Zdeňka Kodymova.

Urodziła się 28 maja 1922 r. we wsi Krhová niedaleko Valašské Meziříčí w Republice Czecho-Słowackiej (Česko-Slovenská Republika) jako Zdeňka Nachmilnerova. Jako dziewczynka była bardzo utalentowana artystycznie, śpiewała i tańczyła w miejscowym zespole. W Valašské Meziříčí ukonczyła szkołę, a następnie podjęła pracę jako krawcowa. Mając 17 lat zatrudniona została w Černoevičová Valašské Meziříčí.

Kiedy III Rzesza zajęła Czechosłowację, na jej terenach wprowadzono prawa i obowiązki występujące w Niemczech. Wszystkie kobiety bez wyjątku musiały należeć do Związku Niemieckich Dziewcząt (Bund Deutscher Mädel). Jednak Zdeňka nie chciała się temu obowiązkowi podporządkować. W związku z tym została zwolniona z pracy, zakwalifikowana jako robotnik przymusowy. Następnie została wywieziona do Grünbergu, gdzie została umieszczona w fabryce Gruschwitza przy dzisiejszej ul. gen. Jarosława Dąbrowskiego i wykonywała liny oraz tkaniny mundurowe dla żołnierzy Wehrmachtu. W początkowym okresie pracy przymusowej reżim roboczy był luźny – pracowała osiem godzin dziennie i miała wolną niedzielę. Jednak działania na frontach spowodowały, że profil produkcyjny fabryki diametralnie się zmienił. Gruschwitz został przemianowany na Opta Radio, a Kodymovą zmuszono do pracy przy produkcji sprzętu wojskowego. Pracowała wówczas po 12 godzin dziennie bez możliwości urlopu z pełną obstawą ochronną. Warunki w obozie pracy były katastrofalne, ale więźniowie raz dostali szansę na wyjście do restauracji.

Pomimo pracy przymusowej i mieszkania w obozie pracy uczestniczyła w życiu kulturalnym prowadzonym głównie na terenie obozu. To właśnie tu poznała Jana Žemličkę, czeskiego muzyka, który przymusowo pracował w mieście jako asystent dentysty. W obozie potajemnie się spotykali i latem 1944 r. Zdeňka zaszła w ciążę. Žemlička, kiedy się o tym dowiedział, nie zgodził się na dziecko, wyparł się go i nigdy już nie spotkał się ze Zdeňką. W tym czasie Kodymova zaprzyjaźniła się z Antoniną Naruszewicz (zmarła w Zielonej Górze w 1984 r.), z wykształcenia pielęgniarką, pochodzącą z terenów dzisiejszej Litwy. Naruszewicz trafiła do Grünbergu po jednym z nalotów bombowych na Berlin.

Koniec wojny w Grünbergu to chaos. Oficerowie Armii Czerwonej popełniali liczne akty przemocy wobec niemieckich mieszkańców, którzy nie zdążyli opuścić miasta. Kobiety były gwałcone (nawet byłe robotnice przymusowe). Mieszkańcy ukrywali się po piwnicach przed krasnoarmiejcami. Sama Zdeňka, będąc w ciąży, była ukrywana przez Niemca w piwnicach domu przy ul. gen. Dąbrowskiego, którego nazywała wujkiem. Cały czas przy niej była także Antonina Naruszewicz. W mieście panował wielki głód. Antonina pomimo rosyjskich patroli w mieście wyszła z kryjówki, znalazła krowią głowę i ją ugotowała. Kiedy zbliżał się termin porodu, Antonina Naruszewicz z wujkiem przetransportowali Zdeňkę do szpitala w elżbietankach. 10 marca 1945 r. urodził się tam jej syn Jan. Poród przyjmowała Antonina Naruszewicz i niemiecki profesor, który był pilnowany przez żołnierzy radzieckich uzbrojonych w karabiny.

Po urodzeniu i ochrzczeniu syna Zdeňka zamieszkała z dzieckiem przy ul. gen. Dąbrowskiego u wujka. Nie czuła się tam jednak bezpiecznie, gdyż mieszkanie bardzo często było nachodzone przez pijanych radzieckich żołnierzy. W związku z tym podjęła decyzję, że opuści miasto i piechotą poszła w kierunku Przytoku. W lesie została schwytana przez radziecki partol i doprowadzona do radzieckiego oficera. Kiedy ten dowiedział się, że Zdeňka idzie do Czech, powiedział: „Byłem w Pradze, to jest piękne miasto!" oraz wyprowadził ją z lasu, puszczając wolno.

Po dotarciu do Czech w zatłoczonym pociągu w wagonie bydlęcym udała się do Valašské Meziříčí. Tam wzięła ślub z Jaroslavem Kodymem. Wspólnie mieli dwoje dzieci – córkę Jaroslavę i syna Zdeňka. Obecnie ma 97 lat i mieszka w Petřvaldzie. Do Zielonej Góry po wojnie nigdy nie przyjechała, pomimo że przyjaźń z A. Naruszewicz przetrwała.

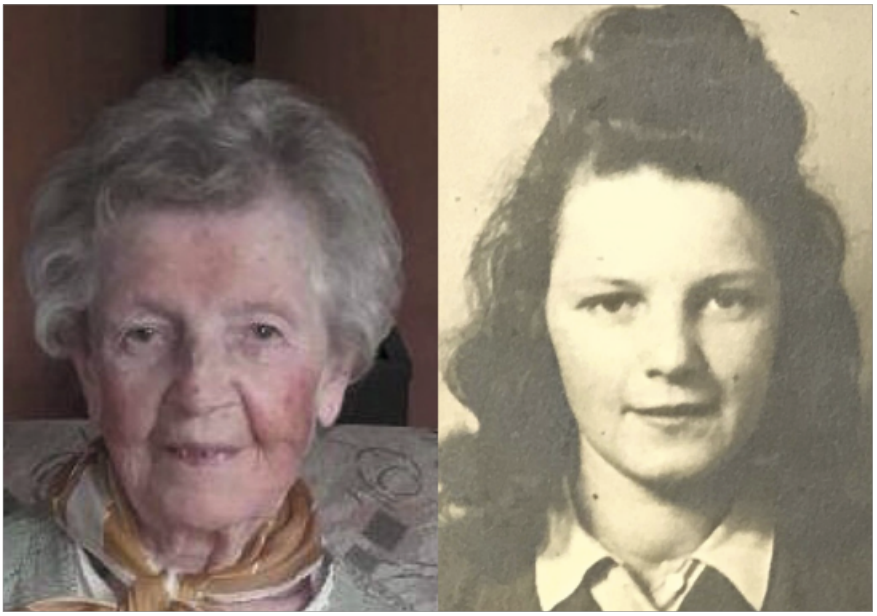

fot. Archiwum autora

Zdeňka Kodymowa w 2018 roku i wtedy, kiedy przymusowo pracowała w Grünbergu

Izabela Korniluk

Postawił fabrykę na nogi

Jedną z ważniejszych postaci w Grünbergu był Georg Beuchelt, właściciel Fabrik für Brückenbau und Eisenkonstruktionen Beuchelt u. Co. Grünberg in Schlesien (Fabryka Budowy Mostów i Konstrukcji Stalowych), poprzedniczki Wagmo i Zastalu.

Georg Beuchelt urodził się 3 stycznia 1852 r. w Zwickau, w rodzinie protestanckiej. Ukończył średnią szkołę przemysłową w Chemnitz, a potem wyższe studia techniczne w Dreźnie. W czasie wojny francusko-pruskiej służył w piechocie. Jako student odbywał praktyki w Duisburgu nad Renem, a pracę zawodową rozpoczął w wieku 22 lat w zielonogórskiej filii zgorzeleckiej firmy Niederschlesischen Maschinenbau A.G., vormals Conrad Schiedt. Tam też poznał się z Albertem Ribbeckiem, swoim późniejszym wspólnikiem biznesowym. Panowie postanowili, w obliczu problemów finansowych firmy ze Zgorzelca, przejąć ją na własność. I tak w 1876 r. powstało nowe przedsiębiorstwo w Grünbergu. Do 1888 r. wspólnicy razem zarządzali firmą. Później, po rezygnacji A. Ribbecka, Beuchelt został jej jedynym udziałowcem.

Poza pracą w przedsiębiorstwie Beuchelt znajdował także czas na pracę na rzecz miasta. W 1892 r. został wybrany do samorządu lokalnego, a w 1904 r. pełnił funkcję przewodniczącego rady miejskiej. Był członkiem sejmiku krajowego (Landtagu) i reprezentował w niemieckim Reichstagu okręg wyborczy Kożuchów-Zielona Góra. Od 1892 do 1912 r. był posłem miejscowego okręgu w Landtagu pruskim. Beuchelt angażował się w życie Grübergu, był członkiem wielu organizacji, wspomagał biednych i potrzebujących. Zapraszano go na ważne uroczystości miejskie, miał wielu przyjaciół i znajomych nie tylko wśród zielonogórskich właścicieli fabryki i zakładów. Uczestniczył w świętach rodzinnych swoich znajomych, ślubach, rocznicach i innych wydarzeniach. Dbał też o swoich pracowników, nie tylko o kadrę inżynierską i techniczną, którą często wysyłał na szkolenia, praktyki i studia, ale i o robotników wykonujących najcięższe prace na wysokościach i na zewnątrz. Wprowadził obowiązkowe szczepienia zdrowotne dla swoich pracowników. Był hojny, sowicie wynagradzał za dobrą, rzetelną pracę. Zdarzało się, że wędrował po zakładzie z gośćmi przybyłymi do miasta, przyglądał się pracom i rozmawiał z robotnikami. Mówiono o nim, że „daje ludziom pieniądze i chleb." Jak często zaznaczał w rozmowach, bogactwo zdobył nie tylko poprzez swoją własną pracę, ale przede wszystkim przez pracę swoich pracowników.

Beuchelt należał do grona najbogatszych mieszkańców Grünbergu. Mieszkał wraz z najbliższą rodziną na terenie zakładu w specjalnie wybudowanej dla nich willi. Na piętrze znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, a część dolna przeznaczona była na biura. Beucheltowi dom prowadziła jego siostra Liddy. W willi mieszkała jeszcze jej chrześnica Martha Beuchelt. Swoje pieniądze Beuchelt inwestował w nieruchomości i parcele w Grünbergu. W 1901 r. posiadał już 58 300 m kw. nieruchomości, z tego prawie 20 000 m kw. w budynkach mieszkalnych na terenie miasta. Kupował też budynki i mieszkania w innych miejscowościach, gdzie musiał często przebywać z powodów zawodowych. Jedną z takich zielonogóskich parceli przeznaczył Beuchelt pod budowę świątyni. W swoim testamencie zapisał 50 000 marek w złocie na wybudowanie ewangelickiego kościoła (obecnie kościół katolicki pw. Najświętszego Zbawiciela). Sprawami budowy świątyni zajęła się, już po jego śmierci, Liddy Beuchelt. Świątynia miała być wotum błagalnym za poległych podczas I wojny światowej. Kamień węgielny pod budowę kościoła położono 21 marca 1915 r. Już w kwietniu następnego roku obiekt nakryty był dachem. Świątynię budowało kilka firm, więc prace ukończono dość szybko, gdyż 3 stycznia 1917 r. nastąpiło jej poświęcenie.

Georg Beuchelt nigdy się nie ożenił, a w związku z tym nie doczekał się potomka. Zmarł 17 sierpnia 1913 r. w Grünbergu w wieku 61 lat. Gdyby nie przeziębienie i powikłania, które się rozwinęły na tym tle, dalej nadzorowałby działania firmy**.** Beuchelt zachorował podczas podróży służbowej do Eberswalde. Antidotum na ciężkie przeziębienie miała być podróż do ciepłego i słonecznego Egiptu. Jednakże wyprawa jeszcze bardziej osłabiła chorego. Po powrocie do rodzinnego miasta już nie wstał z łóżka. Pochowany został na cmentarzu Grüner Kreuz (Zielonego Krzyża, obecnie park Tysiąclecia) w specjalnie wybudowanym mauzoleum rodzinnym. Grobowiec Beuchelta wyróżniał się spośród innych znajdujących się na nekropolii. Tworzyła go kolumnada złożona w kształcie litery U z kaplicą i wewnętrznym dziedzińcem. Do grobowca wchodziło się od strony alei po pięciu stopniach schodów. Do dziś zachowały się kolumny oraz rotunda przykryta kamienną kopułą. Po śmierci przemysłowca firmę przejęła jego siostra Liddy, choć faktycznie sprawami administracyjnymi, finansowymi i technicznymi zajmowała się wykształcona kadra techniczna.

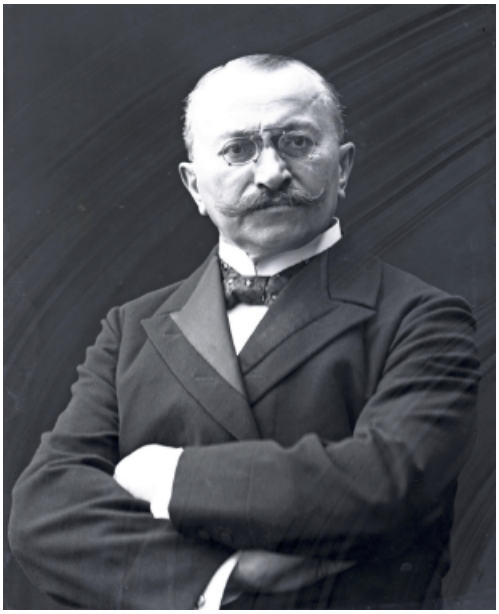

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

Georg Beuchelt (1852-1913)

Wiesław Hładkiewicz

Dylematy i rozterki burmistrza Sobkowiaka

Tomasz Sobkowiak był pierwszym burmistrzem Zielonej Góry. Przybył do miasta z grupą urzędników miejskich z wielkopolskiego Leszna. Zostali oni skierowani do Zielonej Góry przez Polski Związek Zachodni. Zastępcą T. Sobkowiaka został Klemens Mikulski, sekretarzem – późniejszy wiceburmistrz Czesław Wielgosz.

Tomasz Sobkowiak urodził się 12 grudnia 1895 r. w Górce Duchownej koło Leszna. Kształcił się w Duisburgu. Później studiował teologię w seminarium duchownym w Poznaniu. Jako obywatel niemiecki został powołany do armii niemieckiej. W czasie pierwszej wojny światowej walczył na froncie rosyjskim i francuskim. Ranny podczas walk pod Verdun i Aisne został zwolniony z armii. Wrócił do Górki Duchownej, gdzie zastał go wybuch powstania wielkopolskiego. Jako komisarz Naczelnej Rady Ludowej w Krzywinie zaangażował się w tworzenie administracji na zdobytych przez powstańców terenach. Krótko był burmistrzem Szubina, później przeniósł się do Leszna, gdzie został zawodowym wiceburmistrzem.

W 1939 r. wraz z rodziną został wysiedlony do Opoczna w Generalnym Gubernatorstwie, tam był burmistrzem. Aresztowany w 1942 r. za współpracę z miejscowym Związkiem Walki Zbrojnej resztę wojny spędził w obozie koncentracyjnym Auschwitz, gdzie zginął jeden z jego synów. Po oswobodzeniu obozu przez Rosjan wrócił do pracy w magistracie w Lesznie.

Akt przejęcia polskiej administracji w Zielonej Górze dokonał się 6 czerwca 1945 r. w obecności pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów na okręg Dolny Śląsk inż. Kazimierza Ptaszyńskiego przed gmachem ratusza. Służbę pełniła przy wejściu polska straż przemysłowa. Na szczycie wieży ratusza wywieszono polską chorągiew, by podkreślić znaczenie tej chwili.

Po objęciu urzędu burmistrza T. Sobkowiak zwolnił z dotychczasowych funkcji większość Niemców w magistracie, wśród nich mianowanego przez Rosjan Karla Laubego. Jako włodarz miasta zatrudnił byłego wiceburmistrza Kalisza, nawiązał współpracę z duchowieństwem, nauczycielami i lekarzami. Podczas mszy odprawianych przez niemieckiego proboszcza osobiście czytał ewangelię po polsku.

fot. Daniel Jung

Pamiątkowa tablica z wizerunkiem Tomasza Sobkowiaka na ścianie zielonogórskiego ratusza

Do Zielonej Góry z reguły przybywali ludzie z różnych stron, to był taki tygiel. W tym wszystkim burmistrz T. Sobkowiak miał specyficzną rolę do wykonania. Musiał pogodzić różne interesy. Był to okres powojenny, więc działali też szabrownicy, ludzie różnego autoramentu. Zarządzanie miastem nie należało do łatwych. Należy mu zatem oddać hołd, tym bardziej że przyjechał z Wielkopolski. Musiał szukać kontaktów z byłymi pracownikami administracji na Kresach – na Ukrainie, Wileńszczyźnie.

Po wysiedleniu Niemców z Zielonej Góry i okolic za Nysę Łużycką administracja miasta przeszła w ręce Polaków. Obejmowali oni poniemieckie sklepy i obiekty przemysłowe. Jeden ze sklepów znajdujących się naprzeciw ratusza przejęła wówczas Maria Sobkowiak, żona burmistrza. W jego prowadzeniu pomagał żonie T. Sobkowiak. Nie było to mile widziane.

Na początku lipca 1946 r. T. Sobkowiak został przesłuchany w Państwowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Grożąc wszczęciem śledztwa wymuszono na nim rezygnację ze stanowiska. Działania przeciw burmistrzowi były prowadzone w tajemnicy przed członkami Rady Miejskiej. Jeszcze w sierpniu 1946 r. Czesław Wielgosz i członkowie prezydium nie wiedzieli z jakich powodów odwołano T. Sobkowiaka. Dopiero w październiku postawiono mu zarzuty: „był stróżem ustroju sanacyjno-faszystowskiego", „posiada dwa sklepy", „ufundował ołtarz na Boże Ciało", nie przeprowadził reorganizacji biura ewidencji ludności.

Były burmistrz był szykanowany przez socjalistów. 16 stycznia 1947 r. przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Henryk Starzecki sfałszował podpisy trzech członków prezydium pod pismem, które unieważniało umowę dzierżawną dla czterech właścicieli sklepów, w tym również dla M. Sobkowiak i Jana Szynkarka.

Wówczas T. Sobkowiak usiłował załagodzić sprawę. Jako przewodniczący miejscowego koła Związku Inwalidów Wojennych wystąpił z prośbą o przydział tych lokali dla tej organizacji „celem zatrudnienia wdów i sierot". Jednak H. Starzecki odrzucił to podanie. Były burmistrz nie dawał za wygraną.

Niewątpliwą zasługą T. Sobkowiaka było szybkie i sprawne zorganizowanie polskiej administracji w mieście, odbudowa rzemiosła, handlu i szkolnictwa.

W grudniu 1945 r. został wybrany na przewodniczącego Tymczasowej Miejskiej Rady Narodowej. W wyniku oskarżeń o przywłaszczenie mienia w styczniu 1946 r. podał się do dymisji, a w listopadzie 1946 zrezygnował również z funkcji przewodniczącego rady.

Aż do śmierci 31 marca 1949 r. T. Sobkowiak udzielał się w życiu społecznym miasta, był m.in. prezesem koła Caritas i aktywnym członkiem rady parafialnej.

Daniel Jung

Dwukrotny olimpijczyk

W ubiegłym roku odbył się X Memoriał Stanisława Maruchy na strzelnicy zielonogórskiej Gwardii. Ten klub reprezentował Marucha od 1961 r., zdobywając między innymi tytuł wicemistrza świata w strzelaniu z karabinu dowolnego w 1966 r. W 1974 i 1975 r. stał na najwyższym podium mistrzostw Europy. Był dwudziestokrotnym mistrzem Polski w strzelaniu z karabinu małokalibrowego i pneumatycznego.

Stanisław Marucha urodził się 17 stycznia 1937 r. w Tykadłowie koło Kalisza. Po wojnie rodzice przenieśli się do Kalisza. Tam chodził do szkoły podstawowej i tam miał zamiar rozpocząć naukę w technikum mechanicznym. Stało się tak, że wbrew rodzicom wyjechał do Stalowej Woli, gdzie chodził do szkoły. Na rok przed ukończeniem nauki porzucił technikum, co w tamtym czasie równało się z odbyciem służby wojskowej. Podczas obowiązkowych strzelań na poligonie we Wrocławiu, gdzie służył, okazało się, że nie ma sobie równych. Trafił więc do sekcji strzeleckiej wojskowego klubu Śląsk. Po odbyciu służby wrócił do Kalisza, gdzie reprezentował barwy miejscowego Włókniarza. Do dziś jego żona przechowuje paterę pod tort, którą otrzymał jako nagrodę za wygranie zawodów strzeleckich w Kaliszu. Po tych zawodach znakomity trener kadry narodowej Ludwik Kostera wpisał go na listę reprezentantów Polski i zaproponował trenowanie w Lidze Przyjaciół Żołnierza w Zielonej Górze. Ledwie to się stało, sekcja strzelecka LPŻ została zlikwidowana, a zawodnicy mieli do wyboru klub wojskowy Czarni w Żaganiu lub milicyjny Gwardia w Zielonej Górze. Marucha wybrał Gwardię. Na to pewnie miała wpływ Teresa Basanowicz, także zawodniczka LPŻ, która w 1962 r. została jego żoną.

Zaraz po przyjeździe z Kalisza do Zielonej Góry Marucha został zatrudniony jako tokarz w Zgrzeblarkach. Zatrudniony formalnie, bo w rzeczywistości częściej przebywał na treningach i obozach a to w Zakopanem, a to w Bydgoszczy, a to na zgrupowaniu kadry narodowej. Na swoje pierwsze zagraniczne zawody pojechał do Budapesztu, tam w konkurencji kbks 6 zajął pierwsze miejsce. W kraju wygrywał niemal zawsze. Na treningach często, a i na zawodach bywało, że w swojej koronnej konkurencji kbks 6 (leżąc, odległość do tarczy 50 m) trafiał same dziesiątki. Na pewno miało na to wpływ między innymi jego samopoczucie, ale i szczęście podczas losowania miejsca, z którego celował do tarczy. Najlepsze jest to przy wale, gdzie wiatr słabiej wieje i ma mniejszy wpływ na tor lotu pocisku.

Będąc na etacie w Zgrzeblarkach, Marucha dokończył naukę w technikum mechanicznym, co pozwoliło dyrekcji na przeniesienie go do działu głównego inżyniera. Pod koniec 1963 r. fabryka dała mu bezpłatny urlop po to, żeby przygotował się do igrzysk olimpijskich w Tokio. Przez rok trenował w Bydgoszczy. Trener kadry narodowej spodziewał się, że w Tokio spisze się na medal, zajął 16 miejsce może i dlatego, że igrzyska odbywały się w październiku, w odległym kraju. W tym miejscu warto dodać, że w Tokio po raz pierwszy pojawili się zielonogórzanie jako olimpijczycy, byli to: Edward Czernik (zajął 9 miejsce w skoku wzwyż) i Marian Filipiuk (6 miejsce w finale sztafety 4 x 400 m). Po powrocie z Tokio Marucha przeszedł na etat milicyjny, co w praktyce oznaczało, że jest sportowcem reprezentującym milicyjny klub Gwardia. Na igrzyskach w Montrealu w 1976 r. identycznie jak w Tokio reprezentował Polskę w strzelania z karabinu małokalibrowego: 60 strzałów w pozycji leżącej, 50 metrów. Poszło mu gorzej niż w Tokio. W Kanadzie najlepiej spisał się Jerzy Greszkiewicz z gdyńskiej Floty, który zdobył brązowy medal w strzelaniu do ruchomej tarczy z sylwetką biegnącego dzika.

Po powrocie z Montrealu jeszcze przez cztery lata Marucha był w kadrze narodowej. Gdy doszedł do wniosku, że zbliża się koniec kariery, zapisał się na studia we wrocławskiej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, potem na kurs trenerski w poznańskiej AWF. I to był kolejny strzał w dziesiątkę, gdyż pozwolił mu na objęcie stanowiska trenera kadry narodowej, którym był w latach 1980-1992. Trenował także zawodników zielonogórskiej Gwardii.

Każde z jego czworga dzieci również wykazało się talentem strzeleckim. Wprawdzie nie zdobywały medali na zawodach rangi europejskiej czy światowej, ale pokonywały swoich rówieśników podczas turniejów amatorskich. Marek Marucha jest trenerem koordynatorem kadry narodowej strzelców niepełnosprawnych.

fot. Archiwum rodziny

W Tokio Stanisław Marucha zajął 16 miejsce na 76 startujących, uzyskał 591 punktów na 600 możliwych. W Montrealu został sklasyfikowany jako 37-40 wśród 78 zawodników, zdobył 587 punktów. Na obu igrzyskach startował w konkurencji strzelanie z karabinu małokalibrowego: 60 strzałów w pozycji leżącej, 50 metrów.

Stanisław Marucha należał do tych zawodników, którzy zostali odznaczeni Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. Otrzymał też tytuły Zasłużonego Mistrza Sportu i Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej. Zmarł 26 września 2008 r. w Zielonej Górze.

Wiesław Hładkiewicz

Jestem spełniony

Tamte czasy wspominam z nostalgią, która mimo upływu czasu nie minęła. Kiedy tylko mogę, jeżdżę do Jasienia, gdzie tylu jest moich znajomych. Nawet kilka publikacji poświęciłem temu miasteczku.

Jestem przekonany, że zręby mojej osobowości ukształtowały się we wczesnym dzieciństwie. Byłem chłopcem, który dorastał w atmosferze legendy Kresów Wschodnich, skąd przybyli moi rodzice na Ziemie Zachodnie. W Jasieniu ludzie żyli skromnie, ale w dostatku jak na tamte czasy. Teraz, po wielu latach coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ludzie rodzą się i umierają niezależnie od osiągniętej przez nich pozycji społecznej i posiadanego majątku. I że nie na wszystko mają wpływ geny. O części, jak wielkiej, tego nie wiem, ale o części decyduje przypadek. Właśnie przypadkiem było to, że moi rodzice mieszkali w Jasieniu.

Pisarzem mojego dzieciństwa i młodości był niemiecki autor Karol May. Jego książki stały się odtrutką na nudę socrealistycznych czytanek, chociaż je także mile wspominam. Jak większość moich rówieśników kochałem Winnetou i Old Shatterhanda, a nawet starego pijaczynę Sama Hawkinsa. Kochałem ich dziecięcym sercem i chciałem jak oni przeżywać niewiarygodne przygody. Później oglądałem serię filmów z tymi bohaterami, mimo tego że podobały mi się jugosłowiańskie krajobrazy, gdzie te filmy były kręcone, bohaterowie książkowi już nie byli tymi z lat dziecięcych.

Z wypiekami na policzkach czytałem także książki Juliesa Verne'a, przede wszystkim „20 000 mil podmorskiej żeglugi". Poznałem większość powieści sensacyjno-obyczajowych i podróżniczo-przygodowych Daniela Defoe. W snach przeżywałem to samo, co przeżywał Robinson Crusoe. W pamięci zachowałem książki Aleksandra Dumasa: „Trzej muszkieterowie", „Królowa Margot" i „Wicehrabia de Bergellone".

W 1964 r. ukończyłem Szkołę Podstawową w Jasieniu i rozpocząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Lubsku. Na zajęcia lekcyjne dojeżdżałem pociągiem, niekiedy rowerem, a nawet chodziłem pieszo. Dworzec kolejowy w Jasieniu (i w Lubsku), jakim go zapamiętałem, tętnił życiem. Niekiedy jechałem koleją do Żar, które wtedy wydawały mi się ogromnym miastem. To były miłe i radosne chwile. Często bawiłem się z rówieśnikami w pobliżu mostów kolejowych. Teraz wspominam dawny dworzec z sentymentem, ale i smutkiem. W latach sześćdziesiątych poprzedniego wieku to było miejsce niemal kultowe. Tam można było nie tylko coś przekąsić i wypić piwo, ale także spotkać się z kolegami i pogadać. Dworzec kolejowy był jak dom kultury, kawiarnia i plac zabaw. No i ten gwizd parowozów i nadjeżdżających pociągów. Tam powinno wrócić takie życie, jakie pozostało w mojej pamięci.

Wróciłem do Winnego Grodu z bagażem doświadczeń. I od razu wtopiłem się w nurt pracy akademickiej w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Z Jasienia do Zielonej Góry

Drugą klasę rozpocząłem w zielonogórskim liceum nr 21. Wtedy ojciec otrzymał pracę w wojewódzkim komitecie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Chodziłem do sławnego liceum przy ul. Chopina, którym kierował Zbigniew Czarnuch.

Czarnuch był niekwestionowanym autorytetem, twórcą szczepu harcerskiego Makusyny. Na patrona szczepu wybrał razem z nami pisarza, poetę, felietonistę, krytyka teatralnego Kornela Makuszyńskiego.

Lekcje historii u Czarnucha nie należały do łatwych. Nie było na nich miejsca na nudę i monotonność. Burzliwe dyskusje zapamiętałem do dziś przede wszystkim dlatego, że Czarnuch nie tolerował banalnych i stereotypowych wypowiedzi. Historii – często mówił – nie można okłamać. Na ile to było możliwe, przekazywał nam prawdę o powojennych czasach, a jeśli czegoś nie mógł powiedzieć wprost, mówił tak, żeby każdy z nas zrozumiał, co nauczyciel chciał powiedzieć.

Liceum nr 21 przy Chopina obrało za swojego patrona Edwarda Dembowskiego. W szkolnej gazetce, którą współredagowałem, napisałem jego biogram i przedstawiłem filozoficzne poglądy. To był mój debiut dziennikarski.

W zbiorze reportaży opublikowanych pod tytułem „Powrót i początek" znana zielonogórska publicystka Alicja Zatrybówna tak napisała o Czarnuchu: „Gdyby nauczyciel Zbigniew Czarnuch nie pojawił się w Zielonej Górze, to trzeba by go było wymyślić [...] Ściąga na siebie uwagę. Budzi zachwyty i protesty. Wśród pedagogów opinie są podzielone. Jedni twierdzą: fenomen, inni – zupełny wariat. Pytają: kim on właściwie chce być? Makarenką, Korczakiem? Czarnuch chce być przede wszystkim sobą." Jej koleżanka po piórze Irena Kubicka w zbiorze reportaży zielonogórskich „Most nad czasem" na co innego zwraciła uwagę. W jej tekście Czarnuch tak się tłumaczy: „Gdybym rozpoczynał swoją pracę w latach późniejszych, kiedy o człowieku świadczy sukces, kiedy liczą się społeczne, a nie jednostkowe projekcje, myślę, że wiele rzeczy w moim życiu wyglądałoby inaczej".

Czarnuch mieszkał w skromnie w kamienicy przy uliczce Kazimierza Wielkiego. Tu w niewielkim wnętrzu przewijali się codziennie jego uczniowie i sympatycy. Był dla nich jak guru, mistrz wtajemniczony. Wokół książki, wiele książek. Wśród nich Sokrates, Kartezjusz, Hegel, Kant, Plechanow, a także Gandhi, Luther-King i Claude Levi-Strauss. Czarnuch żył książkami i chciał, żeby jego uczniowie także dużo czytali. Czytali i rozmawiali o tym, co przeczytali.

Szkołą życia stał się wtedy dla nas zamek rodziny Schoenaichów w Siedlisku. Harcerze przystąpili wówczas do odbudowy tego potężnego renesansowego zamczyska, mocno zniszczonego przez czas i zdewastowanego przez Rosjan. Część odbudowano i zachowana stoi do dziś. W dawnej kaplicy zamkowej powstała sala koncertowa. Budynek bramny został przeznaczony na schronisko. Założono tam niewielkie muzeum i bibliotekę.

Z Zielonej Góry do Poznania i z powrotem

Po zdaniu matury w liceum nr 21 zdecydowałem się kontynuować studia historyczne na Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na podjęcie tej decyzji ogromny wpływ miał mój ojciec Edward, który wówczas pracował w wojewódzkim komitecie ZSL w Zielonej Górze. Pracując, ojciec także ukończył studia historyczne na tej uczelni.

W październiku 1968 r. zostałem studentem na Wydziale Filozoficzno-Historycznym. W kosmos uczelni wtopiłem się w klimacie wydarzeń marcowych. Bohaterem tych chwil był wówczas Michał Przydróżny, student historii, późniejszy mieszkaniec Zielonej Góry i nauczyciel w podstawówce w Nietkowie. Zapamiętałem z tego okresu wielu powszechnie znanych nauczycieli akademickich i naukowców. Byli wśród nich między innymi profesorowie: Janusz Pajewski, Antoni Czubiński, Lech Trzeciakowski, Gerard Labuda, Karol Olejnik, Jerzy Strzelczyk. Moim Mistrzem, któremu wiele zawdzięczam, był profesor Pajewski. Pod jego kierunkiem i spolegliwą opieką napisałem pracę magisterską o koloniach Rzeszy Niemieckiej w Afryce w latach 1884-1914. Czarny Kontynent to moja nostalgia i zainteresowania naukowe.

W Poznaniu zostałem na rok po zakończeniu studiów. Mój Mistrz zasugerował mi pracę naukową Instytucie Zachodnim. Utworzono wówczas Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną Polskiej Akademii Nauk. Prowadziłem kwerendę naukową do środowiska polskich emigrantów niepodległościowych w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Jakoś nie mogłem się zadomowić w stolicy Wielkopolski. Poznań okazał się za wielki. Za gwarny. Za daleki. Może dlatego że wychowałem się w niewielkim i cichym Jasieniu.

Postanowiłem więc, że wrócę do Zielonej Góry. Rodzice nie byli z tego zadowoleni, ale przyjęli mnie serdecznie. Siostry również. Najbardziej cieszyła się mama. Chyba każda matka chce jak najdłużej mieć dzieci przy sobie. Ojciec już przeszedł do pracy w Urzędzie Wojewódzkim, gdzie został wicewojewodą, zastępcą wojewody Jana Lembasa, nadzorującym m.in. sprawy dotyczące oświaty, kultury i sztuki, sportu i turystyki, zdrowia i opieki społecznej oraz komunikacji. W 1975 r. ojciec obronił rozprawę doktorską na UAM. Jego praca, wykonana pod okiem profesora Trzeciakowskiego, dotyczyła początków ruchu ludowego na Ziemi Lubuskiej. Ojciec był wówczas pierwszym doktorem nauk humanistycznych w zielonogórskim Urzędzie Wojewódzkim (niedługo później doktorat obronił Stanisław Kowalski, wojewódzki konserwator zabytków). Na drzwiach sekretariatu, przez który trzeba było przejść do gabinetu zajmowanego przez ojca, administracja obsługi urzędu wywiesiła tabliczkę „dr Edward Hładkiewicz wicewojewoda zielonogórski". Jak szybko wywiesiła, tak szybko ją zdjęła. Zrobiła to na polecenie wojewody Lembasa, który stwierdził, że w urzędzie jest tylko jeden doktor – Stanisław Góra, dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej.

Moja intelektualna i zawodowa przygoda zaczęła się w Zielonej Górze po powrocie z Poznania w 1974 r. Wróciłem do Winnego Grodu z bagażem doświadczeń. I od razu wtopiłem się w nurt pracy akademickiej w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Pracę zaproponował mi rektor tej uczelni profesor Hieronim Szczegóła. Uczelnia była niewielka, młoda, nie zatrudniała wykładowców ze wszystkich dyscyplin pedagogicznych, dlatego niektóre przedmioty wykładali nie do końca wyspecjalizowani nauczyciele. Ja prowadziłem zajęcia dydaktyczne z kilku przedmiotów. Była to filozofia, później socjologia, wreszcie historia i nauki polityczne. Ta praca przyniosła mi wiele satysfakcji, a przede wszystkim poszerzyłem swoją wiedzę z zakresu nauk humanistycznych. Krótko mówiąc: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

fot. Archiwum autora

Prof. dr hab. Wiesław Hładkiewicz jest kierownikiem Zakładu Teorii i Metodologii Badań Politologicznych w Instytucie Politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego

W 1977 r. na Uniwersytecie Adama Mickiewicza obroniłem rozprawę doktorską przygotowaną pod kierunkiem mojego Mistrza Profesora Janusza Pajewskiego. Rozprawie nadałem tytuł „Polacy w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945-1949". Był to okres moich zainteresowań historią Niemiec i polskiej emigracji niepodległościowej w zachodnich strefach okupacyjnych tego państwa – amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej.

Jak już napisałem, od młodych lat urzekała mnie Afryka. Zdecydowałem się poszerzyć swoją wiedzę o kolonializmie, zwłaszcza niemieckim. Efektem tego stała się książka „System kolonialny Rzeszy Niemieckiej 1884-1919", wydana w 1986 r. Obecnie pracuję nad nowym poszerzonym jej wydaniem.

Po wielu latach powróciłem do badań naukowych nad dziejami polskiej emigracji niepodległościowej w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Zainteresowania Polakami w Albionie stały się tematem rozprawy habilitacyjnej „Polska elita polityczna w Londynie 1945–1972". W 1996 r. odbyłem przewód na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. W 2015 r. prezydent Rzeczypospolitej wręczył mi nominację profesorską – nadał tytuł profesora zwyczajnego nauk społecznych.

Pod moim kierownictwem Anna Łoś-Tomiak i Adam Ilciów napisali rozprawy doktorskie. Mam w swoim dorobku ponad sto artykułów i publikacji naukowych.

Zbliża się mój jubileusz 45-lecia pracy naukowej i dydaktycznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Wkrótce skończę 70 lat. I jestem spełniony. Chociaż moje życie nie było czasami zbyt radosne. No i moje podróże po świecie. Nadal ciągnie mnie na Czarny Kontynent – do Afryki, którą pokochałem.

Zielonogórska Nagroda Literacka Winiarka 2019

Zielonogórska Nagroda Literacka „Winiarka" jest przyznawana przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica" za szeroko pojętą działalność pisarską:

- prace poetyckie i prozatorskie sytuujące Zieloną Górę jako miejsce akcji i jako podmiot ekspresji twórczej,
- dzieła autorstwa regionalych poetów, pisarzy, dziennikarzy i innych osób, których prace wyróżniają się znakomitym warsztatem literackim,
- prace naukowe odnoszące się do popularyzacji literatury regionu,
- prace publicystyczne uwzględniające dzieje miasta i jego najważniejszych obywateli.

W wyjątkowych przypadkach – dla osób, instytucji i stowarzyszeń, będących animatorami działań literackich oraz promotorami literatów, a także dla wydawców za szczególną staranność i urodę realizowanych publikacji.

Kandydatów do nagrody mogą zgłaszać instytucje, stowarzyszenia i osoby prywatne, przesyłając pisemny wniosek pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra lub e-mail: tmzg-winnica@o2.pl do 16 września 2019 r.

Nagroda przyznawana jest raz w roku. Laureatem wyróżnienia można zostać tylko jeden raz.

Decyzję o przyznaniu nagrody podejmie kapituła powołana przez prezesa TMZG „Winnica".

5. Konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej

§ 1 Postanowienia ogólne regulaminu

1. Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica".
2. Konkurs jest skierowany do wszystkich piszących, którzy podejmują w swoich utworach prozatorskich lub poetyckich temat Zielonej Góry.
3. Uczestnictwo w konkursie jest dobrowolne.
4. Za udział w konkursie organizator nie pobiera opłat.

§ 2 Prace konkursowe

1. Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej).
2. Tematyka prac konkursowych jest w dużym stopniu dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry.
3. Prace nadesłane na konkurs muszą stanowić od początku do końca twórczość własną uczestnika konkursu. Tekst nie może być wcześniej nagradzany. Prace nadesłane na konkurs nie mogą w żadnej części stanowić plagiatu lub być kopią jakichkolwiek innych utworów lub fragmentów innych utworów.

§ 3 Zgłoszenie udziału w konkursie

1. Prace konkursowe nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (około 1800 znaków na stronie) należy przesyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Każda praca powinna być podpisana godłem. W kopercie opatrzonej tym samym godłem proszę umieścić dane autora (imię i nazwisko, adres, e-mail, telefon). Przesyłkę należy podpisać: „Konkurs na utwór zielonogórski". Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx lub pdf) należy przesłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę napisać „Konkurs na utwór zielonogórski".
2. Przesyłając pracę na konkurs uczestnik konkursu:
   a) oświadcza, że jest autorem zgłoszonej pracy i przyjmuje pełną odpowiedzialność w przypadku zgłoszenia roszczeń przez osoby trzecie z tytułu naruszenia ich praw autorskich;
   b) wyraża zgodę na opublikowanie swojego imienia, nazwiska oraz treści pracy.

§ 4 Rozstrzygnięcie konkursu

1. Prace oceniać będzie jury powołane przez organizatora.
2. Nominowani zostaną poinformowani o wyróżnieniu drogą telefoniczną lub mailową.
3. Uhonorowanie laureata nastąpi podczas gali w październiku 2019 r.
4. Decyzje komisji konkursowej są ostateczne i nie podlegają procedurze odwoławczej.

§ 5 Nagrody i wyróżnienia

1. Nagrodą główną w konkursie jest dyplom oraz wydanie książki laureata (który przekaże materiał do druku organizatorom konkursu do 31 maja 2020 roku).
3. Nagroda zostanie wręczona podczas oficjalnego ogłoszenia wyników.
4. Nagrody nie mogą być wymienione na ekwiwalent pieniężny.

§ 6 Terminy

1. Termin nadsyłania i zgłaszania prac do konkursu – 16 września 2019 r.
2. Ogłoszenie trzech nominacji – 7 października 2019 r.
3. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w październiku (dokładny termin zostanie podany w zaproszeniu oraz na stronie facebookowej Towarzystwa).

§ 7 Postanowienia końcowe

1. Zgłoszenie jest jednoznaczne z akceptowaniem warunków regulaminu konkursu.
2. Organizator nie ponosi odpowiedzialności za jakiekolwiek szkody dotyczące nadsyłanych utworów powstałe z winy systemów komputerowych lub osób trzecich.
3. Organizator w uzasadnionych przypadkach zastrzega sobie prawo do odmiennego niż przedstawiony powyżej podziału nagród.
4. Wszystkie prace zgłoszone do konkursu stają się własnością organizatora. Autorzy przenoszą na organizatorów prawa autorskie, tj. prawa do publikacji drukiem, prawa do przenoszenia dzieła na nośniki elektroniczne, prawa do publikacji na stronie Towarzystwa.
5. W sprawach nieobjętych niniejszym regulaminem decydują organizatorzy.
6. Wszelkie pytania odnośnie konkursu należy kierować bezpośrednio do organizatora, pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl.

Z naszej kroniki

fot. Kazimierz Sobecki

Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza 2018 r. otrzymał Władysław Klępka, członek naszego stowarzyszenia, za całokształt twórczości poetyckiej i przekłady wierszy z języka czeskiego i gruzińskiego. Nagrodę wręczyła Anna Sobecka, wdowa po AKW, i Eugeniusz Kurzawa, prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze. „Poruszona cisza" to piętnasta książka tego autora. TMZG „Winnica" wydało ten zbiorek wierszy pod koniec ubiegłego roku. Na ostatniej stronie okładki Maria Wasik napisała: „Czytając mamy wrażenie, że przenieśliśmy się do innego, łagodniejszego świata". Omówienie zbiorku w następnym magazynie.

fot. Alicja Błażyńska

Pod koniec ubiegłego roku Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry „Winnica" wydało książkę „Ceper". Jej autorem jest rysownik Władysław Kuczer, przez wiele lat zielonogórzanin urodzony w Czerwieńsku, a od niedawna mieszkaniec Zaboru. Jego satyryczne rysunki ukazywały się w „Gazecie Lubuskiej", obecnie publikują je m.in. tygodniki „Łącznik Zielonogórski" i „Angora". Wioleta Haręźlak we wstępie pisze, że „ta publikacja to niebanalny głos w zakresie rozważań nad naszym życiem, to także wypływające z treści wysokiej klasy psychologiczne studium postaci i epoki". To druga taka książka W. Kuczera. Pierwsza „Z teki Cepra" ukazała się w 2000 r. Spotkanie rysownika z czytelnikami w Norwidzie prowadził Tomasz Czyżniewski (na zdjęciu z prawej).

fot. Alicja Błażyńska

Promocja zbioru ballad podwórkowych „Szacun, panie Jurandot" Haliny Bohuty-Stąpel, wydanego przez TMZG „Winnica", odbyła się 13 grudnia 2018 r. w sali witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. Na spotkanie z autorką przyszło więcej zielonogórzan niż organizatorzy przygotowali miejsc. Była to nietypowa promocja książki, bo połączona z prezentacjami wokalnymi i aktorskimi znajomych i przyjaciół poetki. O książce piszemy na str. 15.

W 1922 roku grünberczycy świętowali 700-lecie miasta. Z tej okazji ukazała się historia Winnego Grodu „Geschichte der Stadt Grünberg/Schles." pióra Hugona Schmidta, licząca ponad 1,1 tys. stron. Polski przekład tej książki ma być gotowy do 2022 r. Nasze Towarzystwo także przygotowuje się do 800-lecia miasta. Rozpoczęły się prace związane z przygotowaniem i wydaniem encyklopedii zielonogórskiej. Najpierw ma się ukazać wersja elektroniczna, w 2022 r. wyjdzie wersja papierowa. Odpowiedzialny za tę inicjatywę jest wiceprezes dr hab. Ryszard Zaradny.

Stowarzyszenie miłośników miasta z wyjątkowo bogatą przeszłością

Towarzystwo Ziemi Głogowskiej istnieje z przerwami od grudnia 1945 roku. Uważa się za najstarsze stowarzyszenie regionalne w zachodniej Polsce. W ubiegłym roku otrzymało 45 tys. zł z kasy miasta na swoją działalność.

W lutym 2019 r. troszkę ponad 180 osób należało do Towarzystwa Ziemi Głogowskiej. Dominowali głogowianie. Członkami TZG są także mieszkańcy okolicznych miejscowości, a nawet Lublina (to ci, którzy urodzili się w Głogowie). Wśród nich jest najwięcej historyków i regionalistów, nauczycieli i wykładowców akademickich, urzędników, wojskowych. Funkcję prezesa Towarzystwa sprawowało czterech późniejszych prezydentów Głogowa. Obecny prezes Zbigniew Mazurek nazywa wszystkich wzorcowymi miłośnikami miasta.

TZG ma siedzibę w gmachu Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Poza siedzibą ze szkołą wiąże je dział regionaliów, który znajduje się w bibliotece uczelnianej. Jest to chyba największy zbiór książek o Głogowie na świecie. Nie ma co ukrywać, że taka zbieżność pomaga Towarzystwu, uczelni i mieszkańcom zainteresowanym przeszłością miasta. Ponadto to miejsce nobilituje.

Zdaniem prezesa Mazurka historia jest bardzo ważna w pracy towarzystwa, ale i ważne są inne formy działalności. Choćby upowszechnianie wiedzy o mieście wśród najmłodszych mieszkańców, czego nie ma w programach szkolnych. Prowadzone w formie prelekcji i warsztatów lekcje regionalizmu „Dawno temu w Głogowie" objęły 1200 uczniów.

Starsi miłośnicy historii miasta mają z czego korzystać. Takiego dorobku wydawniczego, jaki jest dziełem TZG chyba nie ma żadne towarzystwo w środkowo-zachodniej Polsce. Od 1993 r. ukazuje się ilustrowana „Encyklopedia ziemi głogowskiej". Do końca 2018 r. wyszło 78 zeszytów, w każdym po 10-20 haseł. Oprócz wydania na papierze istnieje wersja internetowa (www.tzglogow.pl/glogopedia). To zadanie dofinansowuje samorząd miejski. Autorami haseł są nie tylko głogowianie, bo i nawet mieszkańcy Wrocławia, Lublina, Zielonej Góry oraz miasteczek dolnośląskich i lubuskich.

Bardzo ważna stała się seria książek Glogovia Militaris. Oto niektóre tytuły: „Festung Glogau 1944-1945. Kalendarium wydarzeń", „Twierdza Głogów. Garnizon i ludzie 1630-2009", „Warownia głogowska w dobie pierwszych Piastów". W tej serii Towarzystwo wydało prace niemieckich autorów: „Twierdza Głogów. Listy ze Śląska", „Szesnastolatek na wojnie. Wspomnienia z lat 1944-1945" i „Losy Głogowa podczas okupacji francuskiej 1806-1814".

Ukazały się „Legendy i baśnie z ziemi głogowskiej" w nowym opracowaniu, wybrane z wcześniejszych tomów, wśród nich zielonogórskiej autorki Izabeli Koniusz. Wyszedł album z fotografiami przedstawiającymi miasto na przestrzeni dziejów. Zainteresowani turystyką mogą skorzystać z przewodnika „Trasy rowerowe w okolicach Głogowa", a przyjezdni z nowego wydania przewodnika „Głogów". Krajoznawstwo i turystyka po Dolnym Śląsku, Wielkopolsce i Ziemi Lubuskiej staje się jedną z ważniejszych form działalności TZG. Do tego dochodzą coroczne sesje popularnonaukowe i wykłady prowadzone przez wybitnych znawców dziejów.

Nowością w pracy Towarzystwa jest gromadzenie pamiątek, których nie przechowują archiwa państwowe. Prezes Marciniak wyjaśnia, że przede wszystkim chodzi o wspomnienia i fotografie.

Towarzystwo nikogo nie wyręcza. Robi to, czego oczekują jego członkowie, mieszkańcy Głogowa i okolicznych wiosek. Oprócz tzw. wkładu własnego wnoszonego przez członków TZG zdobywa dofinansowanie z kasy miejskiej. W 2018 r. było to 45 tys. zł.

AS

Szafy w siedzibie TZG są pełne teczek i segregatorów, w których znajdują się pamiątki przyniesione przez głogowian. Prezes Zbigniew Marciniak twierdzi, że często zaglądają do nich ci, którzy piszą prace licencjackie i magisterskie.

fot. Daniel Jung

Każdego roku Towarzystwo wydaje kilka książek. Zebrała się ich spora biblioteka. Część książek TZG rozdaje członkom i mieszkańcom miasta, część sprzedaje, a zdobyte w ten sposób pieniądze przeznacza na kolejne publikacje.